

# *Życie Pauliny Morawskiej*



opisane przez

**Konstancję Morawską**

*Kiedy przed dwoma laty spisywałam dla rodzeństwa mojego życie najdroższego Ojca, nie trudno mi przyszło nakreślić sobie ramy podjętego zadania. Pod wrażeniem straszego bólu i wstrząśnienia, układałam dla najbliższych roczniki naszej szczęśliwej przeszłości, przywodziłam wspomnienia poufne, szczegóły domowe i powoli wszystkie łzy oczu, cała krew serca ściekała w te kartki poświęcone ukochanej pamięci... Dziś nowa strata zniewala mnie do podobnego żałobnego zajęcia, ale tym razem waham się w doborze odpowiednich warunków. Drogi Ojciec był naszą wyłączną własnością, Babunia do całej należy rodziny. O nim wolno było dla jednych tylko pisać dzieci jego, o niej szerokie wnuków koto zapragnie szczegółów.*

*Alboż więc mam pisać w formie mniej poufnej, wybiegać po za granice rodzinnego pamiętnika? Składanie publicznych hołdów na drogich mogiłach nie należy zwykle do bliskich, choć nie widzę czemu świadectwo ich ma być odsuniętem? Czy dla tego, że w niem większa drga miłość, wierniejsza znajomość uniknionych postaci? Z innej strony nowa powstaje trudność: życie Babuni najdokładniej wysnućby można z jej korespondencji, zapisków i wierszy. Ogrom tego materiału przerósłby moje siły, ale byłby mi ułatwił zadanie. Tymczasem nic prawie z rękopiśmiennej spuścizny po Babuni nie mam w ręku, ani przyswoić sobie nie śmiem. Po dłuższem namyśle obieram tedy pośrednią drogę: niezdolna objąć całego życia Babuni naszej w onego pełności i zupełności, skreślę przynajmniej to, co o niej wiem z tradycji rodzinnej i z ust jej własnych, postaram się o zgromadzenie głównych rysów tej ukochanej postaci, i nie tyle biografią jak obraz drogi przedstawię tym, którzy ją kochali i których serca przepełnione są dziś nie tak może bólem, ile raczej rzewną ku niej tęsknotą.*

24 Stycznia

1883. r.

Ukochana nasza Babunia, Paula z hr. Łubieńskich Morawska, urodziła się w Warszawie na dniu 4<sup>go</sup> Stycznia 1791 r. Sama jedna z pośród liczego rodzeństwa przyszła na świat w pałacu Łubieńskich, który natenczas zwał się jeszcze pałacem Bielińskich. Ojciec jej Felix, późniejszy minister sprawiedliwości, po krótkim i bezpotomnym związku z pierwszą żoną z domu Rogalińską, poślubił był Teklę Bielińską, córkę pisarza koronnego i Krystyny Sanguszkówniej. Dziesięcioro dzieci, siedmiu synów i trzy córki, błogostawiły to przykładne stadło, łączące wszystkie przymioty umysłu i serca z rzadkimi w owej epoce zasadami wiary, które mianowicie Felix Łubieński wyniósł ze szkół Jezuickich w Syennie, gdzie się kształcił przez lat kilka, resztę młodości spędzając pod kierunkiem światłego i uczonego Albertrandego. Tekla z Bielińskich Łubieńska przed urodzeniem szóstego już z kolei dziecięcia, postanowiła słabość swą odbyć pod opieką Babki, która ją była wychowała, księżnej Marszałkowej Barbary z Duninów Sanguszkowej. Na to postanowienie wpłynął zapewne i wzgląd polityczny. Sejm Czteroletni skupiał w ów czas w stolicy wszystkie tężnia kraju, gromadził przewodnie siły narodu. Nie chcąc się rozdzielać z mężem, Tekla Łubieńska osiadła tedy na zimę w Warszawie, a rzadki jej umysł i bystrość wrodzona, snadź przyciągać musiały panów radnych, skoro jak mi Babcia opowiadała, pokój w którym przyszła na świat w roku Konstytucyi, nieraz brzmiał dyskusjami głównych owej Konstytucyi ustawodawców.

Nowonarodzonej dano za patronkę przy Chrzcie świętym Świętą Paulę, dziedzictwem po matce ojcowskiej, Pauli z Szembeków, trzykrotnie zamężnej, najprzód za Celestynem Łubieńskim, następnie za Potockim, po raz trzeci za Ogińskim. Szczególnym trafem, z każdego związku jeden tylko syn pozostał, składając się w zgodne rodzeństwo, o różnym dla każdego nazwisku. Felix Łubieński był starszym bratem słynnego z głośnych przedsięwzięć i bankructwa Prota Potockiego oraz znanego autora pięknych Polonezów i wielkiego muzyka, Michała ks. Ogińskiego. Ten ostatni podawał

nowonarodzoną Paulę do Chrztu, wraz z pierwszą swą żoną Lasocką. Później dopiero zaślubić miał piękną Włoszkę, matkę ks. Ireneusza na Retowie, a Babkę dzisiejszych spadkobierców tego imienia i majątku.

Z pierwszych lat życia Babci niewiele znam szczegółów. Najdawniejsze jej wspomnienie wymownie uwydatniało co się to zmieścić może bólu w życiu polskim, gdy się zwłaszcza nad zwykłą przeciągnie miarę. Ona, która miała przeżyć wojny i klęski napoleońskie, walkę z roku 1831, a dożyć lat 1846, 1848 i 1863, sięgała pamięcią Maciejowskiej przegranej! Sprawa szła coraz gorzej, Moskale plądrowali po Krakowie; Tekla Łubieńska przykuta obowiązkami macierzyńskimi nie mogła teraz jak przed kilku laty obiegnąć domu, aby na czele zebranej pospiesznie czeladzi, tak nieprzyjaciela postraszyć, iż tenże spiesznie opuścił zajęte przez się miasteczko (Sieradz jeśli się nie mylę). Niespokojny o los rodziny Felix Łubieński polecił żonie zabrać dziatwę i z bardziej wystawionych na niebezpieczeństwo Szczytnik przenieść się do Zagości. Po drodze przyszło całej drużynie nocować w karczmie w Żelechowie. Naprędce rozścielono grochowiny i dzieci do snu się układały. Wtem nadchodzi wieść, że bitwa przegrana, a Kościuszko wzięty w niewolę. Do żywego poruszona pani Łubieńska przedwczesnych doznaje boleści, dzieci nagle przebudzone wysyła do kościoła, a tymczasem w ustronnej karczmie przychodzi na świat dziecię, późniejszy biskup Tadeusz.

Zbieg ten okoliczności utrwalił wspomnieniem czy tradycją w pamięci Babuni klęskę Maciejowicką. Inne jeszcze wrażenie miało ją zetknąć pośrednio ze skutkami strasznego przewrotu dokonanego we Francji przez rozszalałą rewolucją. Pewnego dnia na gościńcu prowadzącym do pałacu w Guzowie, ujrzano z daleka sunące pasmo białych postaci. Byli to Trappiści, wyparci z Francji nawalnością ludową. Sam tylko przełożony łamał milczenie i przemawiał w imieniu dwudziestu braci: „Słyszeliśmy, że tu macie lasy do karczowania, a że to naszym jest zadaniem, ofiarowujemy Wam usługi.” Felix Łubieński rad im gościnne udzielił schronienia, wszelako odparł, iż zasięgnąć musi zezwolenia rządu i odnieść się aż do Berlina w sprawie osiedlenia obcych zakonników. Była to bowiem epoka Prus południowych. Odpowiedź nadeszła przecząca, po długiej zwłoce. Czas ten wielotygodniowy spędzili Trappiści w domu Guzowskim, zasiadając do wspólnego stołu i trując wszystkich milczeniem i pobożnością. Zawiedziony w nadziei osadzenia Trappistów w okolicy Guzowa, Felix Łubieński wyprawił ich z poleceniem do brata swego Prota Potockiego, który ich tymczasowo umieścił w Różance. Gdy lepsze zaświtały czasy, Trappiści wrócili do ojczyzny. Pomni jednak na gościnne w Guzowie przyjęcie, po latach kilku przysłał panu Łubieńskiemu pergamin pięknie ozdobny, nadający tak jemu, jak i jego rodzinie udział w zasługach, modlitwach i umartwieniach wdzięcznego zakonu.

Kilka wyjazdów za granicę urozmaiciło dziecinne lata Pauli Łubieńskiej, Polusi, jak ją w rodzeństwie zwano. Wspominała jeszcze na krótko przed zgonem pierwszą podróż swą do Wiednia, dla metrów, w roku 1800, później miły pobyt u wód Węgierskich, w Bardyowie, także na początku wieku, w 1802<sup>im</sup> czy 3<sup>sim</sup>, nareszcie późniejszą wycieczkę do Franzensbadu w roku 1807. Z pobytu w Bardyowie wspominała Babunia znajomość z Księciem Generałem Ziemi Podolskich, który niesłychaną swą grzecznością wszystkich ujmował, a nie pomijał w powszechnej uprzejmości najmłodsze nawet panienki, dzieci niemal, jakimi były natenczas cztery kuzynki, dwie Łubieńskie i dwie Kossowskie. Ilekroć je spotykał, już z daleka wołał: *Mesdemoiselles mes nièces, ôtez vos gants!*<sup>1</sup> - i dopiero po kolei drobne całował rączki.

Te jednak podróże i rozrywki nie przeszkadzały rosnącej dziewczynce rozwijać z latami rzadkich zdolności umysłu i serca. Każde wrażenie było jej pobudką do postępu w nauce życia i w

---

<sup>1</sup> Tłumaczenie: *Moje siostrzenice, zechciejcie zdjąć rękawiczki!*

naukach umiejętności. Kto wie, azali ów pobyt Trappistów w Guzowie, widok ich wyrzeczenia i zaparcia się siebie, nie pokierował młodziuchnego serca na te same tory, któremi do śmierci ukochana Babcia postępować miała? Żądza poświęcenia dla drugich kosztem zupełnego o sobie zapomnienia, już w tak rychłym wieku stała się głównym jej charakteru znamieniem. Oto np. w czternastym roku życia, chcąc osłodzić wzrastające kalectwo na wpół ociemniałego dziadunia Pisarza koronnego Bielińskiego, prawie bez cudzej pomocy wprawia się w języku niemieckim, aby czytać zagraniczne gazety starcowi osmuconemu stratą wzroku. Innym razem znów babkę ocala od ukąszenia nadbiegającego psa wściekłego, i w słabym objęciu unosi ją na miejsce bezpieczne. Choć to wysilenie przyptaca chorobą, która raz po raz miała w jej życiu powracać, pod wpływem każdego silniejszego wzruszenia.<sup>2</sup>

Jednocześnie odbiera to męskie wykształcenie, które do końca podziwiać nam przychodziło. Dzielili z braćmi ich nauki, a bodaj nawet więcej od nich korzystała z lekcji udzielanych im przez świątłych profesorów. Czasy bowiem niespokojne odrywały młodzieńców od książki, echa bohaterskich zapasów mąciły ich uwagę, a jak się wyrażali sami ich nauczyciele, podczas gdy im tylko o wojacze się śniło i marzyło, Polusia jak pszczołka piła chciwie miód wiedzy i wyprzedzała nieraz starszych braci postęпами swemi. Najbardziej do niej wiekiem zbliżony Henryk, za młody aby się rwać do walki i oręża, towarzyszył jej też stale na drodze jednakich zajęć umysłowych. Najwięcej w tej mierze zawdzięczali oboje niejakiemu panu Rollay, staremu Flamandczykowi, rodem z Mions, który niegdyś był nauczycielem księcia Michała Ogińskiego, a później osiadł w Guzowie w charakterze rezydenta czy bibliotekarza. Staruszek ten bardzo był czytany i rozumny, miał atoli zwyczaj wstawania nader późno i wylegiwania do południa w łóżku. Oświadczył wszelako, iż gotów uczyć tych, którzy go w porannych zechcą odwiedzać godzinach. Młoda Paula i młodszy od niej Henryk skorzystali z zachęty, a bardziej jeszcze z wybornych nauk p. Rollay. Portret jego dotąd zdobi jedną z ścian pokoju Babci w Oporowie. Ileż to razy spoglądając nań z wdzięcznością przypominała ile mu jest winna, nie tylko otrzymaniami przez niego wiadomościami, lecz więcej jeszcze zamiłowaniem rzeczy umysłowych i nauczaniem jej tej wielkiej tajemnicy jak sobie samej wystarczać w najsamotniejszych nawet i najbardziej zacieśnionych warunkach.

Dziwnie się w owych czasach historia spletała z życiem pojedynczych rodzin i ludzi. Wnikała poniekąd do domów, rozszerzała zakres przeznaczeń i nadawała pewną wielkość właściwą powszedniości nawet codziennego życia. Niebawem gwiazda Napoleońska miała zaświtać jutrzemką narodowych nadziei i olśnić spojrzenia zapatrzone w świetne jego oręża zwycięstwa. Waleczność rycerska, wielkość dziejowa, osobny na umysły niewieście zwykły urok wywierać. Czar ten u progu młodości ogarnął Paulę Łubieńską, aby się nigdy już nie rozwiać, aż do kresu jej życia. Zachowała z owej epoki, tak pewien podziw dla bohaterstwa wieku, którego błędy trzeźwym jednak dostrzegała okiem, jak i żywą, nigdy w późniejszych latach nie umniejszoną sympatyą dla Francji i Francuzów. Im gorętszym uczuciem ukochała ten kraj, po własnej ojczyźnie najbardziej jej drogi, tem serdeczniej bolała nad onego upadkiem i pogromem za dni naszych. Wiadomości dziennikarskie o Francji najpierwsze budziły jej interes. W końcu życia nie napisała chyba żadnego listu, w którymby się nie znalazł jaki zwrot bolesny ku tej umiłowanej krainie, zagrożonej tyłu sprawiedliwymi karami.

Pierwsze wspomnienie Babci odnoszące się do Napoleona, sięgało roku bitwy pod Jeną, a mianowicie znanej podróży deputacji polskiej z Warszawy do Poznania dla powitania goszczącego tamże Cesarza. Do owej deputacji należeli Stanisław Potocki, Gutakowski, Felix Łubieński, Łuszczewski. Wracając z tego poselstwa, któremu zachodni władca nie szczędził olśniewających

---

<sup>2</sup> Przypis występujący w rękopisie: Cierpienie to było powtarzającą się różą.

przyrzeczeń i nadziei, panowie wchodzący w skład deputacyi wstąpili po drodze do pani Łubieńskiej. Wstała owa z łóżka, ponieważ nocną porą owe niespodziane wypadły odwiedziny i w własnym pokoju zastawiła dla przejeżdżających herbatę. Mała Polusia sypiała przy matce za parawanem, ale snadź już wówczas miała nader żywe pojęcie i ciekawość, bo nagle zbudzona, wybornie zapamiętała ważne rozmowy, uniesienia jednych, niedowierzanie drugich, a mianowicie rys jeden, utrwalony może późniejszymi ojca wspomnieniami. Gdy cesarz szafując obietnicami zapowiedział i bliską wojnę z Rosyą, Felix Łubieński nadmienił, iż posuwając się ku północy, nie z ludźmi tylko, lecz i z klimatem rachować się trzeba i walczyć przychodzi, co dla południowców z osobną bywa połączone trudnością. Na to cesarz odparł lekko, że poddani wszystko zrobią co im rozkaże, bo ich ma wszystkich w kieszeni, jeden z mężów otaczających Napoleona, w tej chwili przelotnem szyderstwem skrzywił swą twarz wyrazistą, aby natychmiast przybrać na nowo sfinksovą maskę układnego dworaka. Bystre oko Łubieńskiego w lot uchwyciło ową przemianę, a zdając żonie sprawę z otrzymanych w podróży wrażeń, dodał: „Zobaczysz, że go ten człowiek zdradzi.” Człowiekiem tym był biskup odstępca z Autun, ksiązę Talleyrand.

Tymczasem spełniały się choć częściowo świetne zapowiedzi Napoleona, i oto w roku 1807 Francuzi zagościli jako wybawcy na ziemi Polskiej. Jeśli Mickiewicz wspomina o początkach roku 1812 z uniesieniem wyswobodzenia, mówiąc, że:

*„Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,  
Ja tylko jedną wiosnę miałem taką w życiu.”,*

to pono i Babcia nasza jedną, jedyną podobną wiosnę nadziei zaznała, w pamiętnym roku 1807. Nieraz powtarzała, że odtąd już nigdy podobnego nie widziała zapału, równego poświęcenia. Wszyscy nieśli ochotnie ofiarę z krwi i mienia, z życia i najdroższych skarbów serca czy majątku. W następnych przebudzeniach ojczystych bywały już pewne restrykcje w ogólnym uniesieniu i nadziei. W roku 1830 nie wszyscy byli za pomyślnym wyborem chwili zbrojnego powstania. Różnolite zdania pchały lub wstrzymywały działania. W roku 1807 wszyscy biegli ku jutrzence swobody, za którą bez zawodu miało się ukazać zbawienia słońce. Pierwsze atoli bezpośrednie zetknięcie się z Francuzami powinno było ochłodzić nieco zapał dziatwy Felixa Łubieńskiego. Wieczorną porą, nagle dochodzi wieść, że Francuzi idą, że już są niedaleko Guzowa. Dzieci wybiegają na ich spotkanie, podziwiają świetne mundury, marsowe postacie. Czas jednak wracać do domu, apetyt znaczy nadchodzącą wieczerzy godzinę. Wracają tedy, a tymczasem w pałacu Guzowskim zastają już pełno maruderów, rabujących w najlepsze. Napatrzwszy się pięknych rynsztunków wojennych, przyszło dzieciom położyć się spać o głodzie, bo kolację Francuzi sprzątnęli.

Ale podczas gdy młodzi tylko z licznego rodzeństwa w ten sposób poznawali niedogodności wojenne, starsi stawali w szeregach obrońców ojczyzny. Czterech młodych Łubieńskich (Franciszek, Tomasz, Piotr, Jan) wstąpiło wtedy do wojska, a tymczasem młodziotka Paula przedwcześnie zaczęła bywać w świecie. Matka rada byłaby ją w domu i przy naukach dłużej zatrzymać. Jeden wzgląd wszakże stanowczo przechylił szalę. Było to w roku 1807 jeszcze. Pani Łubieńska została zaproszoną na koncert do zamku, danym tamże na cześć Napoleona. Postanowiła zabrać z sobą piętnastoletnią córkę, aby teźże zostawić i zapewnić wspomnienie, że widziała z bliska bohatera wieku. A nuż ten bohater w którejś bitwie zginie i nie wróci więcej? Nieśmiała tedy i drżąca dziewczynka wstąpiła na pokoje dworskie, trzymając się sukni matki. Dopóki cesarza nie było w sali, ruch tam panował niesłychany, rojno i gwarno było niby w mrowisku. Snuły się wspaniałe dam stroje, lśniące mundury, pobrzękiwały ostrogi i pałasze. Wszyscy wzdychali, umizgiwali się, kochali na zabój, nie wiedząc czasem w kim i dlaczego. Ale był to prąd ogólny, każdy musiał mieć wybraną serca panią, obiekt czułych westchnień i romansowych zachwyków. Między dwoma wojnami, a nawet bitwami,

koniecznym to bywało zajęciem. Nie nadawano tym sentymentom wielkiej doniosłości i znaczenia, „*on s'aimait par passe-temps*”<sup>3</sup>, jak mówiła Babcia, tak łatwe i lekkie zawiązując intrygi lub skłonności jakby np. dziś układano kabałę. Korzystano z każdego światowego zebrania, aby dalej snuć sentymentalne rozmowy, które nie zawsze pozostawały w granicach salonowej tylko, przelotnej flirtation. Babunia nieraz wspominała, iż pierwszym jej prawdziwym smutkiem w owych młodych latach było wykradzenie jej siostry stryjecznej Emilki Potockiej, córki Prota, przez śmiałego pułkownika Kalinowskiego, który zamiarkowawszy, że mu bogatej dziedziczki nie dadzą, zjednął sobie, czy przekupił guwernantkę i pod pozorem spacerów w okolicy Młocin pannę uwiózł i potajemnie zaślubił.

Ależ odbiegłam na chwilę od pamiętnego w życiu Babci zamkowego koncertu. Po gwarnej rozpoczęciu się towarzyskiego zebrania, nagle drzwi się na oścież rozwarły i adiutanci zawołali: „*L'Empereur !*”<sup>4</sup> Od razu głucha nastąpiła cisza i koncert wśród ogólnego rozpoczął się milczenia. Cesarz kochał się w muzyce, mianowicie lubił Paisiella, którego opera „Nina” największego wówczas zażywała powodzenia, a i Babci zostawiła trwałe wspomnienie czarującej harmonii. Po koncercie nastąpiła wieczerza i gra dworska. Do stolika, przy którym zasiadł cesarz, zaproszono panią Łubieńską i panią Gutakowską. Napoleon lubił wystawiać na zmieszanie nieśmiałe i olśnione jego wielkością istoty. I tak w owym dniu pierwszego na większy świat występu, zagadnął i drżącą przy matce panienkę, która tak się zmieszła, iż niezdolna była wyjąkać odpowiedzi i matka zastąpić ją musiała. Do stołu prowadził panią Łubieńską Berthier, marszałek obozów cesarskich, późniejszy książę Wagramu. Przestraszona dziewczynka chce spieszyć za matką przechodzącą do drugiego pokoju, gdy wtem czuje, jak ją ktoś obejmuje za stan i prowadzi, a na progu kulawą potyka się nogą. Ośmiela się wtedy i spogląda na swego nieproszonego opiekuna, który jej się wydaje być djabłem unoszącym ją w otchłań piekielną. Podnosi więc oczy i poznaje księcia de Talleyrand.

Z otoczenia cesarskiego może najdorodniejszym wydał się Babci Bernadotte, najświetniejszym zaś strojem uderzył ją Murat, który pod sumiastym wąsem ukrywał blizny, mając na wylot twarz przestreloną. Kula rozdarła mu policzki w chwili, gdy usta do komendy głośnej otwierał. *Jamais balle n'a porté plus à propos!*<sup>5</sup> - mawiał cesarz, żartując z dzielnego lecz niemądrego dziewiarza. Davout od razu zrażał sobie społeczność Warszawską zbyt dyktatorskim obejściem. Żona jego owa Aimee, świeżo wskrzeszona zajmującymi wydawnictwami córki, pani de Blocqueville, pierwszorzędną była pięknością i wielką ówczesną elegantką. Nigdy jednak Babci sympatyczną nie była, choć ją nieraz spotykała i raz nawet ją odwiedziła w Skierniewicach, gdzie pani marszałkowa później otwarty dom prowadziła.

Zapewne po owym pierwszym koncercie niejedne świetne nastąpiły zabawy i młoda a ładna Paula Łubieńska stała się rychło ozdobą towarzystwa Warszawskiego. Aby nam ją sobie wystawić w ramach spótczesnego otoczenia, najlepiej nam przewertować obrazy z przeszłości Falkowskiego, gdzie dość wierny ówczesnych stosunków napotykamy wizerunek, z jednym tylko zastrzeżeniem. Falkowski albo wręcz pomija dom p.p. Łubieńskich, albo też nie skąpi Onego głowie panu ministrowi najostrzejszych zarzutów. Wprawdzie znaczna część pamiętników odnoszących się do tej epoki z goryczą zawsze wzmiankuje Feliksa Łubieńskiego, mnoży przeciw niemu dowody niechęci. Wszelako przypatrzwszy się bliżej jego nieposzlakowanemu zawodowi, do jednej dochodzi się konkluzji, że owa niechęć spótczesnych, przeważnie z dwojga płynęła źródeł: raz z różnicy zasad i ogólnego

<sup>3</sup> Tłumaczenie: „*kochano się dla rozrywki*”.

<sup>4</sup> Tłumaczenie: „*Cesarz*”.

<sup>5</sup> Tłumaczenie: „*Kula nigdy nie trafiła w bardziej stosownym momencie!*”

indyferentyzmu, który w religijnym usposobieniu Łubieńskiego gwałtem usiłował dopatrzeć się obłudy, a po wtóre z zazdrości wobec powodzenia i wyraźnego błogosławieństwa Bożego na jego licznych potomstwie. Pełni zdolności synowie odznaczyli się w różnych kierunkach. Wyprzedzając lata wspomnijmy, że wszyscy zajęli w kraju przewodnie stanowiska. Jeden został Biskupem, drugi Jenerałem, trzeci Prezesem Banku. Wszyscy zawierali najświetniejsze związki, z kolei dwie Potockie, jedna Ossolińska i dwie najbogatsze dziedziczki w kraju Klicka i Pruska, nareszcie Szymanowska, siostrzenica Franciszki Krasieńskiej, wchodziły jako synowe w dom pana ministra. Kto wie azali w tych ojcowskich pociechach, budzących zazdrość świata, nie trzeba nam szukać wyjaśnienia nie jednych gorzkich a mętnych i nieuzasadnionych zaczepki przeciwko mężowi, którego piękną starość bliższe nam pokolenie dotąd czci i pamięta.

Jako głowa rodziny był to mąż niepospolity. Umiał on znakomicie kierować rzadkimi zdolnościami swych dzieci, umiał w nich wpajać surowe zasady wiary, umiał zwłaszcza utrzymać w licznie rozrodzonym potomstwie zawiązkę miłości wzajemnej, miłości bez granic dla rodziców. Przez długie lata Guzów był ogniskiem, gdzie się owa miłość odżywała częstymi zjazdami rodzinnymi, a mianowicie obowiązkiem stawiania się na dzień Świętego Felixa, 20<sup>go</sup> Listopada. Dopóki żyć będę, mawiała Babcia, nie zapomnę dnia tego, nie zapomnę imienia ojca. Była w pałacu Guzowskim obszerna sala, występująca w ogród, którą pan minister przechodził co rano, udając się na mszę św. do kaplicy. Jeszcze ciemno było, o świcie w jesiennym zmroku ani słycho, a już do tej sali schodzą się z różnych stron domu wszystkie solenizanta dzieci, synowie i córki. Każdy wsuwa się po cichu z świeczką w rękę, czekają przebudzenia sędziwego ojca, nikt drugich wyprzedzić ani wejść do sypialni rodzica nie śmie, boby mu chyba tamci nie darowali. Wtem otwierają się drzwi, ukazuje się solenizant i oto wszyscy dziewięcioro (bo Franciszek najstarszy wyprzedził ojca w grobie) starcy już posiwiatę, wąsiale śniegiem przyprószeni, matrony poważne, plackiem mu do nóg padają i z łzami wyrażają mu swe życzenia.

Ta cześć bez granic dla ojca i patriarchy rodziny była cechą przewodnią wszystkich dzieci pana ministra. Dziwiono się nieraz ich długowieczności, zdumiewano krzepką starością i przeciągającym się nad zwykłą miarę życiem. Czyliż nie należy upatrywać w tem jawnego dowodu spełnionych i spełniających się przez nich i nad niemi obietnic Pańskich. Do czwartego przykazania zalecającego czcić ojca i matkę, wyjątkową Pan przywiązał nagrodę i zapowiedź, że kto owemu przykazaniu będzie wiernym, temu przedłuży się życie na ziemi.

Obok ministra rysuje się mądra i poważna postać jego małżonki, do której z wielu względów córka jej Paula musiała być podobna. U jednej i u drugiej jednaka wyższość charakteru, poświęcenie, oddanie życia macierzyńskim obowiązkom, a przy tem rzadkie zdolności, łatwość pióra, zabawy umysłowe. Pani Łubieńska pisała wiele, a co dziwna, zważywszy na epokę przemagającej francuszczyzny, pisała po polsku. Tragedya jej „Wanda” została nawet odegrana w teatrze Warszawskim. Mnoga zaś rymotwórcza spuścizna, świadczy jeżeli nie o natchnieniu wieszczem, to o niezaprzeczonem poetycznym talencie.

Bywać tedy musiała niemało Babcia nasza w wielkim świecie Warszawskim przy Wysokiem swych rodziców położeniu, ale snadź powodzenia światowe nigdy ją nie upoiły, skoro dość obojętnie je wspominając, zatrzymywała się raczej na jakich donioślejszych narodowych wrażeniach. To opowiadała z powodu burzliwej sessyi w Izbach francuskich lub pruskich, jaką pamiętała wrzawę sejmową w 1808, gdy poseł Umiński, brat jenerała, wierny historycznej tradycji niesforności Wielkopolan, wystąpił z jakimiś zarzutami przeciw radzie Stanu.<sup>6</sup> Na to jeden z radzców Linowski, z

---

<sup>6</sup> Na marginesie strony 36 znajduje się dopisek wykonany ołówkiem: „*Nie Umiński, ale Godlewski.*”

lekka potrząsając ołówkiem trzymany w ręku, jął bronić zaczepionych i zakończył swą przemowę słowy: „*Jeszcze pan poseł Marjampolski w kolebce, kiedyśmy już ojczyźnie służyli.*” Urażony Umiński<sup>7</sup> rzucił się wściekle ku trybunie w gronie swych współziemian, zawsze najspodobniejszych do sejmowych zamieszek. Taki powstał zgietk, że kobiety obecne sessyi drżały ze strachu co dalej będzie. Ministrowie jęli między sobą szeptać, radzić jak zażegnać burzę, nareszcie wystali spośród siebie Felixa Łubieńskiego do króla, aby ten obmyślił sposób uspokojenia umysłów. Fryderyk August goszczący natenczas na zamku, wyprawił do sali radnej Szambelana swego, zapraszając Linowskiego, aby w niby ważnym interesie natychmiast przybywał. Ustąpienie Linowskiego, powołanego nagle do króla, na ten raz uspokoiło rozjątrzonych.

Innym znów razem, i to w następnym chwały roku 1809, rodzina pana ministra radowała się w Guzowie sutem podejmowaniem wojska polskiego. Zawitał tam generał Umiński z sztabem swoim, a choć powszechnie sam nie był lubiony, radość z widoku drogich znaków płynąca, wszelkie osobiste zacierała wrażenia. Olbrzymi stół zastawiony w głównej sali, czekał już tylko na gości, gdy wtem znać dają, że nieprzyjaciel się zbliża. Przerywa się rozmowa, rozkaz cofania się wstrzymuje męźniejszych zapędy. W kilka dni później grzmią działa pod Raszynem, tak dobrze w Warszawie słyszane, iż trzęsły się okna kamienic, a garstka naszych bohaterów utrzymuje przez dzień cały nacierającego z przeważnymi siły nieprzyjaciela. Większa część wojsk polskich walczyła natenczas w Hiszpanii, a i młodzi Łubieńscy tam się znajdowali, dalekie zbierając wawrzyny, gdy te i na ojczystej wyrastały niwie.

Duszą wówczas całego stołecznego towarzystwa był książę Józef Poniatowski, dla którego nasza Babunia taki do śmierci zachowała entuzjazm i tak żywe uwielbienie, że jego wspomnieniem cała się ożywiła i odmładzała. Rzadki musiał być wdzięk w tym człowieku, urok rycerski obok całego serca i męskich przymiotów. Upatrywano w nim żywe uosobienie zacności i honoru. Babcia widywała go w jego pałacu pod Blachą.<sup>8</sup> Potem obowiązki życia z jej strony, a dalekie boje z jego, rozdzieliły ich drogi w przeciwne kierunki. Po kilku latach niewidzenia raz jeszcze miała go spotkać w roku 1813. Rada Stanu za wezwaniem króla Saskiego przeniosła się z Warszawy do Drezna. Babcia z trojgiem maleńkich dzieci towarzyszyła ojcu i mężowi w tej uciążliwej drodze. Przyszło zatrzymać się w Pradze dla odpoczynku i wytchnienia. W domu, gdzie naznaczono ów popas kilkudniowy znajdowały się łazienki. Młoda pani Morawska chcąc odetchnąć świeżym powietrzem zasiadła na balkonie wśród trojga dzieci. Wtem wpada na dziedziniec ks. Józef okryty kurzawą boju i drogi i woła, aby mu zgotowano kąpiel, lecz wtem spostrzega niewidziany dotąd obraz, a poznając w młodej matce dziewczynkę, którą niegdyś w Warszawie widywał, staje jak wryty i z uśmiechem się odzywa: „*Panna Paulina!*” Tak po raz ostatni Babcia ujrzała ulubionego serc polskich bohatera. Po niewielu dniach nadejść miała złowroga wieść o jego tragicznym końcu w nurtach Elstery.

Strona obyczajowa owego pięknego świata nie musiała być zbyt wygórowanej doskonałości, pojęcia moralne nie znały wielu skrupułów. Dość przypomnieć, że z kolei trzy panie Warszawskie wyróżnione sympatią otwartą ks. Józefa, zamieszkały pod Blachą, co nie przeszkadzało wcale, że tam wszyscy bywali i nie formalizowali się tem nie więcej aniżeli stałą obecnością pani de Vauban. Babcia podobnie jak wszyscy spótcześni w tym ostatnim stosunku nic dwuznacznego nie widziała. Stara i chora Francuzka, wybawiwszy kiedyś ks. Józefa z finansowych kłopotów znaczną pożyczką, na starość

---

<sup>7</sup> Nazwisko Umiński zostało przekreślone ołówkiem.

<sup>8</sup> Przypis występujący w rękopisie: Jednym z pierwszych jej występów w szerszych kołach stołecznych, było w obrazach żywych, układanych na cześć ks. Józefa w Pomarańczarni. Były tam nimfy, pasterki itd. Szesnastoletnia Paula wybitną w przedstawieniu grała rolę, a potem śpiewała solo.



odsiadywała dawny dług wdzięczności pod gościnnym dachem Blachy. Wieczory tam spędzano w duszącej atmosferze zbyt ogrzanych salonów, nudząc się i skubiąc szarpie. Najlepiej scharakteryzował panią de Vauban stary Francuz, który ją w ten sposób zdefiniował: „*Un vieux parchemin, bien usé, bien ridé, étendu sur des vieux os.*”<sup>9</sup>

Najbliższem jak się zdaje stosunkiem domu Łubieńskich, a mianowicie pani ministrowej, musiała być natenczas pani Ordynansowa Zamoyska, której piękność i cnota do późnych pokoleń zachowuje osobny urok i woń właściwą. Celowała ona wśród towarzystwa Warszawskiego nadzwyczajną urodą, której głównym rysem było niezrównane powłóczyście spojrzenie. Wszystkie inne damy próbowały naśladować owe długie wejrzenie, ale traciły tylko naturalność, a okrywały się śmiesznością. Babcia z prawdziwą czcią zawsze się wyrażała o pani Zamoyskiej, tej wiernej przyjaciółce pani ministrowej, z którą jej przyjaźń upatrywała rozliczne zbliżenia, chociażby jednaką liczbę dzieci, podobnie siedmiu mając synów i trzy córki. Chowwała je dzielnie i hartownie, a synom nieraz stawiała za wzór ich rówieśników Łubieńskich, zwłaszcza pod względem religijnym: „*Patrzcie, wszakże i oni żyją w świecie, służą w wojsku, a poszczą, a chodzą do Kościoła, a odznaczają się chrześcijańską pobożnością.*” Dzieci Zofii z Czartoryskich Zamoyskiej zachowały tradycją w stosunkach matek wobec naszej Babuni. Odwiedzali ją w Oporowie synowie i córki tej zacnej Pani. Tam po klęsce 1863 roku spotkałam raz p. Andrzeja Zamoyskiego. W ostatniej zaś chorobie powtarzające się odwiedziny hr. Tytusowej Działyńskiej najstarszą jej były pociechą: „*Co to za dusza!*” powtarzała rozstając się z młodszą od siebie o jakie lat dwadzieścia przyjaciółką i znajomą z czasów młodości. Wierna tej przyjaźni pani Działyńska, mimo sędziwego wieku i sił złamanych przybyła oddać Babuni ostatnią posługę, wzięła udział i w exportacji i w pogrzebie, a z tyłu rzewnych dni tych pamiątek, nie najmniej rzewnego doznaliśmy wrażenia, gdy pozostała na ziemi świętobliwa matrona, schylona wiekiem i jakby już w grób zapatrzona, pochyliła się nad trumną naszej zmarłej i długo a czule spoglądała w jej rysy snem śmierci uspokojone, jak gdyby z nich czytała tajemnice wieczności.

Pod względem piękności jaśniała wtedy najświetniej w wyższych kołach stołecznych pani Atamanowa Walewska, o której też Babunia chętnie wspominała. Była to śliczna osoba, niskiego wzrostu, nawet trochę ułomna, co później sznurówki Paryskie najzupełniej wyrównały. Płeć zwłaszcza miała zachwycającą i ramiona niezrównanej białości. Od razu zwróciła na siebie uwagę Cesarza Napoleona. Liberalna wówczas opinia salonowa bynajmniej się nie gorszyła licznymi podarunkami, jakie pani Walewska otrzymywała. Babcia pamiętała między innymi fartuszek z białych koronek w deseń naśladowujący liść i owoce jarzębiny, który na atłasowej różowej sukni prześlicznie się odbijał. Albo jeszcze dyadem złożony z ośmiu kłosów brylantowych. Gdy raz na pewnym balu urządzono kadryl kostiumowany, pani Walewska rozpołowiła swój dyadem i każdą damę odznaczyła dwoma dyamentowymi kłosami. Portret Gerarda przedstawiający ją w czarnej axamitnej sukni, najlepiej jej portret utrwała.

Inną gwiazdą epoki była panna Dzierżanowska, druga żona księcia Konstantego Czartoryskiego. Była ona czarującą, że nieraz Babcia przypominała jej wdzięki, aby potem ze smutkiem mówić o ostatnich latach tegoż Księcia w Wiedniu, kiedy zdziczał i nikogo prawie nie przyjmował, samotny i smutny przechadzając się po suto oświetlonych obszernego mieszkania komnatach. Imię jego wnet nasuwało Babuni przypomnienie uroczych sióstr Kickich, z których drugą, Ewę, jakby przecuciem Babcia wyróżniła przyjaźnią.<sup>10</sup> Wyszła ona niebawem za ks. Antoniego

<sup>9</sup> Tłumaczenie: „*Stary pergamin, bardzo zniszczony, bardzo pomarszczony, rozciągnięty na starych kościach.*”

<sup>10</sup> Przypis występujący w rękopisie: Panna Teresa Kicka, przez długie lata kochała się w ks. Konstantym Adamie Czartoryskim i po części dlatego nigdy za mąż nie wyszła.

Sułkowskiego, a gdy tego wojenna potrzeba zagnała aż do Hiszpanii, surowa powaga młodej mężatki była podziwem całego płóczego towarzystwa stolicy. Teresa Kicka najpiękniejszą była z trzech siostr, ale księżna Ewa pociągała miłym wdziękiem i dobrocią. Stosunek jej z Babcią przeniósł się z Warszawy na ziemię Wielkopolską, gdzie sąsiedztwo Rydzyny i Oporowa jeszcze dawną rozgrzała przyjaźń. Z licznego grona towarzyszek, bodaj żadna sercu Babci nie była miłszą. Wszystko z sobą dzieliły, a gdy na parę tygodni przed własnym zgonem Babcia dowiedziała się o nagłej śmierci jedyne go syna ks. Ewy, ks. Augusta, którego narodziny niegdyś osobny posłaniec radośnie w Oporowie zwiastował, wracających z pogrzebu w Rydzynie o jedno tylko pytała, czy chowając w grobach rodzinnych zmarłego księcia, nie ruszono trumny Ewusi.

Córki pani Sewerynowej Potockiej z których jedna niebawem miała pójść za Franciszka Łubieńskiego, także należały do bliższego koła młodej Pauli.

Wymienione powyżej stosunki i wspomnienia umieściłam bez ładu, choć może niektóre z nich sięgały już poza kres panieńskiego życia drogiej Babuni, która zanim skończyła rok ośmnasty, licznych już miała wielbicieli ubiegających się o jej rękę. Wola roztropnej matki rozstrzygnęła jej losem.

Państwo Ministrowie Łubieńscy pobrali się w roku 1782, a w tymże samym roku przyszedł na świat w Pudliskach pod Krobią przyszły małżonek ich córki Pauli, Józef Morawski. „*Nie wiedziałam idąc za mąż - mawiała z uśmiechem pani Łubieńska - że mi się w tym samym roku, gdzieś w dalekiej Wielkopolsce, zięć ukochany rodził.*” Dziwnem przeznaczeniem, a raczej skutkiem przedłużonego żywota, danem było Babci w ostatnim roku jej życia święcić same wiekowe już rocznice. Sto lat już dobiegało od ślubu jej rodziców, sto lat od urodzenia jej męża. Inny jeszcze drobniejszy aniwersarz nieraz nas pobudzał do żartobliwych z Babunią utarczek. W tymże roku 1782, pan Minister kupił był dla siebie czy żony piękny bardzo złoty repetyer genewskiej roboty, jeśli się nie mylę za całe sto dukatów. Cenny ten zegarek przeszedł był w ręce Babuni i służąc przez czas długi, stanął nareszcie. Otóż błagaliśmy Babcię, aby na uświęcenie stuletniego jubileusza pamiątkowego zegarka, pozwoliła go do naprawy i na nowo w bieg puścić. Nie zezwoliła na to z obawy, aby się nie rozstać nawet chwilowo z darem ojca, oddanym jej wraz z błogostawieństwem.

Z stolicy, gdzie wzrastała i rozwijała się tak pięknie przyszła naszej rodziny ozdoba i chluba, przejdźmy do cichej wsi Wielkopolskiej, gdzie przeznaczony dla niej małżonek w zacnym i cnotliwym chował się domu. Ojciec jego, a pradziad naszego pokolenia, musiał być człowiekiem rzadkiego hartu i pracy, a przytem łagodnego i pojednawczego usposobienia. Wpływ jego na całe sąsiedztwo błogiemu znaczył się ślady: to radą i uczynnością wyprowadzał z trudnych interesów pańską fortunę, a gdy mu w dowód wdzięczności i zobowiązania ofiarowywano osobny klucz stanowiący część uratowanego dziedzictwa, nie chcąc nic ujmować prawym spadkobiercom i przyjmując na pamiątkę swych przyjacielskich trudów prosty za ledwie sygnet. To znów regulował stosunki rodzinne, skłaniał innego sąsiada do uszanowania praw Bożych i ludzkich, i przez to całej rodzinie zwracał honor i dobre imię. Najwymowniejszym świadectwem cnoty naszego Pradziada zostali jego synowie, z których trzech tak pilnie weszło w jego ślady, na szlakach służby Boga i ojczyzny.

Pan Wojciech Morawski<sup>11</sup> zaczął życie w trudnych, zacieśnionych warunkach. Wojny domowe, w których Morawscy biorąc stronę Leszczyńskiego, znaczne ponieśli straty, uszczupliło ich majątek. Pan Wojciech siedział na wiosce, trzymanej w zastawie od Wilczyńskich. W starym dworcu Pudliskowskim przychodzili na świat jego synowie: Józef, Franciszek, Kajetan i Michał. Żona, Zofia z Szczanieckich przyniosła mu dość znaczny, jak na tamte czasy posag, 80000 złp. była to epoka, w której nie trudno było na dzierżawie dobry zrobić interes, korzystając i z lat wyjątkowo obfitych i z

---

<sup>11</sup> Przypis występujący w rękopisie: Wnuk starosty Gniewkowskiego.

nadzwyczajnej zmienności cen. Korzec np. pszenicy w czasie wojennym skoczył na 100 złp., aby podczas blokady spaść na dwa złote. W tymże ostatnim peryodzie, tak wszystko podrożało, iż śląc do Kalisza cały wóz pszenicy do wymiany na centnar soli, jeszcze coś dopłacić przychodziło. Zręczniejsi i bystrzejsi umieli z tych anormalnych stosunków korzystać i w odpowiedniej porze skutecznie sprzedawać zboża i ziarna. Pradziad nasz pilnie i mądrze gospodarując z intrat dzierżawnych kupił z kolei najprzód Kotowiecko, a następnie Lubonię, Oporów, Belęcin i Karchów. Te dwie ostatnie wioski przejmując, czy nabywając drogą układów familijnych ze Stryjem.

Przełom polityczny, zastój handlowy, wynik wojen napoleońskich, zaskoczyły Pana Wojciecha wśród tak rozgałęzionych interesów. Mnożyły się straty, kłopoty materyalne, trudności znaczne. Pradziad nasz literalnie się zamęczył i zagryzł. Umarł z troski w 1808 roku. Żona sama jedna została na czele interesów, a dzielna i rzędna to musiała być niewiasta, skoro nic nie uroniła z majątku męzowskiego, choć przez najtrudniejsze lata sama nim kierowała. Dwaj młodszy synowie nie mogli jej być jeszcze pomocą, dwaj starsi wyrwali się do wojska polskiego.

Dwaj ci młodzieńcy, którzy tak się mieli odznaczyć w służbie krajowej i tyle chluby przynieść rodzinie, chowali się zrazu pod okiem rodzicielskim. W domu naukami ich kierował świątły i świątobliwy Francuz, ksiądz Bienaime, a następnie z prostotą cechującą owe czasy, oddano ich do najbliższych szkół, bo do zakładu księży Pijarów w Rydzynie. Obydwaj najświetniejsze okazali zdolności. Gdy się jednak ojczyste pojawiły znaki, gdy błysnęły narodowi nowe nadzieje, rzucili dom i dotychczasowe zajęcia, aby spieszyć w szeregi obrońców krajowych.

Franciszek szczęśliwie dojechał i zaraz w Warszawie rozpoczął świetną karierę wojskową. Józef po drodze niebezpiecznie zachorował w Kaliszu i dość długo nie mógł się podźwignąć z łoża boleści. Minister Łubieński pilnie wyszukujący w kraju wszystko co miało zdolności i ochotę do pracy, dowiedział się o chorym młodzieńcu i po wyzdrowieniu wciągnął go do służby cywilnej. Takie było pierwsze zetknięcie się Józefa Morawskiego z rodziną jego żony. Odtąd często bywał w domu pana Ministra, gdzie bystre oko pani Tekli rychło go wyróżniło z pośród innej młodzieży. W długich z nim rozmowach przeniknęła jego charakter podniosły, rzadką delikatność serca, słodycz usposobienia, obok wielkiej głębokości umysłu. Odtąd, mimo wielu świetniejszych partyi trafiających się córce, jednego już tylko dla niej pragnęła małżonka. Kiedy się p. Józef oświadczył o rękę panny Pauliny, ta bynajmniej się nie domyśliła, że o niej myśli. Poważny młodzieniec, ciągle rozmawiając z matką, rzadko do córki był przemówił. Zrazu ta ani słyszeć nie chciała o tym związku i wręcz odmówiła. Nie zrażony oporem młodej dziewczyny pan Referendarz przeniósł się na mieszkanie do oficyny Pałacu Łubieńskich i odtąd dzień w dzień wieczory ją tam spędzać. Pani Łubieńska sama mu wskazywała środki zaskarżenia sobie względów córki. Powoli zdobył sobie oporną zrazu pannę i ta powolna życzeniom rodziców, oddała swą rękę wybranemu przez nich narzeczonemu. Chociaż w początkach nie było tam z jej strony romansowego uniesienia, jakie rychło danem jej było poznać i uznać jasnowidzenie macierzyńskiego serca, w związku który jej zapewniał szczęście, spokój i godność całego życia! Z jaką pokorną wdzięcznością, z jakim przywiązaniem opartem na głębokim szacunku wspominała zawsze męża i małżeńskie swe pożycie. Skutkiem własnego doświadczenia zalecała zawsze ślepą wiarę w instynkt rodzicielski i na posłuszeństwie gruntowała szczęście całego życia. Uderzającym objawem było w ostatniej chorobie częste powracanie myśli jej i pamięci ku czczonej postaci swego męża, ku wspomnieniom cnót jego słów i zdań roztropnych. To wznowienie najpiękniejszych uczuć życia zwiastować zwykło nadchodzący już owego koniec. Kwiatami minionej niegdyś wiosny uścięła się droga śmierci i woń lat młodych owiewa zimowy wieczór życia.

Chcielibyśmy sobie przedstawić ową parę tyle nam drogą w chwili, gdy dożgonne zawarła węzły. Żaden jednak portret nie zachował nam ówczesnych rysów nowożeńców. Pan Referendarz był

wysokim, silnym mężczyzną o ciemnych włosach i prześlicznych ciemnoszafirowych oczach, w których przeświecała jego dobroć i rozum. Narzeczona jego, drobnych kształtów i wzrostu, nie była regularnie piękną, ale płeć delikatna i świeża, włosy prześliczne, miły wyraz twarzy, a zwłaszcza oczy pełne życia i ruchliwości, składały się w całość powabną, tak, iż uchodziła za bardzo ładną i wdzięczną pannę. Oczy te dziwnej żywości, zachowała do końca. One opromieniały blaskiem duszy zwiędłą i zmarszczoną już twarzyczkę staruszki, i tak wymownie przemawiały, że w nich znajdowaliśmy odbicie każdego wrażenia jakie rozmowa przynosiła najmilszej naszej Babuni. Oczami słuchała chciwie, oczami mówiła, pytała się, smuciła się lub śmiała. Całe życie, wszystkie tętna serca, wszystkie władze umysłu zbiegały się poniekąd w tem nadzwyczajnym spojrzeniu, którego nam zapomnieć nie podobna. Jeśli na kim sprawdzało się, że oczy są zwierciadłem duszy, to zaiste na ukochanej Babci naszej, aż do ostatniego dnia jej życia, aż do zamknięcia tych powiek, pod którymi zgasły dwa światła rozświecające nam drogę.

Ślub naznaczono na dzień 9<sup>go</sup> Grudnia 1809 roku. Pytałam raz Babci, dlaczego obrzęd ten odbył się w Adwencie za indultem? „*Bo trudno było na nowe wystawiać się zwłoki*” - odpowiedziała mi żywo. „*Już i tak coraz to inne wypadki przeszkadzały weselu, to Raszyn, to Wagram, to znów przeniesienie Rady Stanu do Tykocina. Chwilowy pokój zabłysnął, wypadało zeń skorzystać w niepewności jutra.*”

Nie było wtedy w zwyczaju obchodzenia w wilię ślubu dziewiczego wieczoru. Dzień ten spędzano w zupełnej samotności i skupieniu. Wesele odbyło się w pałacu Kossowskich w Warszawie (u Ciotki panny młodej, pięknej Barbary z Bielińskich Kossowskiej, gdzie mieszkali wówczas rodzice Pauli).

Ślub pobłogosławił w Kościele Świętego Krzyża ks. Szaniawski, przyjaciel domu, proboszcz z Wiskitek, człowiek rozległej nauki, ale kapłan jakich bywało natenczas wiele. Swojami końmi walił na cały rok do Paryża, skąd dopiero w największym gwałcie powracał z kazaniem na jaki odpust zobowiązujący i wymagający jego obecności. Zaproszonych na ślub było siedemdziesiąt osób. Na samą ceremonię kościelną, która się odbyła o 10<sup>tej</sup> z rana, Babcia miała suknię ślubną z białej grenadyny zwanej wówczas gaze cote, na białym atłasie, takiż biały płaszcz atłasowy. Sukienka była krótka. Na głowie rozmaryn zamiast myrty, która dziś modą przemogła. Na obiad i wieczór włożyła inną, długą, także białą atłasową, okrytą cieniutkiem bardzo tiulem zwanym wtedy petinetem. Posadzono przy niej jako przyszłego spóźnieńszanina pana Wojewodę Działyńskiego, ojca pana Tytusa, który bardzo był rozmowny i wymowny. Uczta weselna, mimo dość ogólnej w owej epoce prostoty, nieskończenie była długą. W wyprawie sutej miała Babcia czterdzieści sukien, z których część była z bardzo drogiego i modnego wówczas perkalu, tak nadzwyczajnej cienkości jak papier jedwabny. Niewiele materyi wprawdzie było potrzeba na ówczesne stroje. Mody z czasów Cesarstwa tak ciasno i krótko ubierały kobiety, że ośm łokci muślinu lub perkalu wystarczało na najstrojniejszą suknię.

Po ślubie Referendarz zawiózł żonę do Księżstwa, aby ją przedstawić matce. Następnie młode małżeństwo odwiedziło i Wielkopolską stolicę, gdzie jeszcze dość liczny był zastęp polskiego i poważnego towarzystwa. Prym trzymały dwa domy, gdzie Babcia jako młoda mężatka najprzód musiała się ukazać i składać wraz z mężem wyraz uszanowania. Czem była Kasztelanowa Połaniecka w Warszawie, pierwszą powagą społeczną, tem pani Marszałkowa Gurowska, babka pana Tytusa Działyńskiego w Poznaniu. Przyjmowała w domu własnym na rynku, dzisiejszym pałacu Działyńskich, nad którym unosi się po dziś dzień herbowy Ślepowron Gurowskich.

Drugą powagą społeczności Poznańskiej był dom pani Starościny Średzkiej, Szczanieckiej. Pani ta, nadzwyczaj rzędna i majątna, chowała swe pieniądze w piwnicy przysute gęsto piaskiem. Gdy potrzeba było sięgnąć do kieszeni, schodziła z zaufanym kamerdynerem do owej piwnicy i rozkazywała mu nabierać piasek w rzeszoto i póty przesiewać, aż się potrzebna ilość dukatów nie

odłączyła. Krótco wszakże musiała młoda para wówczas zabawić w Wielkopolsce, bo obowiązki Referendarza wołały go napowrót do stolicy.

Następnego lata widzimy Babcię towarzyszącą rodzicom do Krakowa, gdzie pan Minister wyjechał dla wprowadzenia tamże Kodexu Napoleona. Zaledwie jednak tam stanęli, gdy czterdziestokilkolletnia pani Tekla z Bielińskich Łubieńska nagle zapadła na zdrowiu i po kilku dniach ciężkiego i nieprzytomnego cierpienia w dniu Wniebowzięcia Matki Boskiej, 15 sierpnia 1810 roku Bogu ducha oddała w pałacu pod Baranami. Lekarze nazwali tak nagłą chorobę *apopléxie nerveuse et séreuse*<sup>12</sup>. Przy śmierci z licznej rodziny i potomstwa obecnymi byli jedynie mąż i córki, z których dwie zamężne, trzecia jeszcze dzieckiem. Podczas tych dni bolesnych miasto brzmiało uroczystościami wprowadzania nowego prawodawstwa. Zabawy publiczne, tombole, ognie sztuczne, uświetniały ową chwilę znaczącą w historii. Okrzyki radości ludu tak się w pamięci Babuni zespoliły z wspomnieniem śmierci ukochanej matki, że przez długie lata nigdy nie mogła słyszeć podobnych odgłosów ludowego uniesienia i zapału, aby jej natychmiast w oczach nie stawał obraz umierającej. Ostatnia prośba czy życzenie Tekli Łubieńskiej odnosiło się do pojednawczego posłannictwa, którego natychmiast po jej zgonie podjął się pan Minister. Ostatni margrabia Wielopolski z starszej linii poślubił był wbrew woli swej matki młodszą siostrę Tekli, Joannę Bielińską. Nieubłagana w gniewie swem stara margrabina od lat ośmnastu nie chciała widzieć swych dzieci, a tymczasem macierzyńskie przekleństwo tak srodze nad młodem zaciężyło stadłem, iż żadnego się dziecięcia dochować nie mogli. Zaledwie urodzone, więdniały marnie. Daremnie usiłowano dotąd przebłagać matkę i pogodzić zwaśnione z nią dzieci. Pan Minister niepomny własnego smutku, skorzystał z chwili zgonu ukochanej małżonki, ubóstwianej w rodzinie Tekli, aby raz jeszcze próbować kroków pojednawczych. W imieniu zmarłej zaklinał panią Margrabinę o darowanie urazy i cofnięcie przekleństwa. Zmiękczona dała się przebłagać. Syn i synowa czekali tej chwili pod drzwiami. Pan Minister ich wpuścił i miał pociechę widzieć u stóp przebaczącej matki. Urodzona później córka ich Krystyna Wielopolska, uchowała się szczęśliwie i wyszła za Bontaniego.

Babcia nasza była już wtedy w stanie poważnym. Wróciwszy do Warszawy urodziła pierwsze dziecko swoje, syna Wojciecha. Dziecię to przyszło na świat żółte jak cytryna, żółtemi nawet łzami płakało, ale jak lekarze stwierdzili, absorbcyą żółci matki ocaliło jej życie. Chowano się jednak dobrze, a tymczasem nowa odmiana nastąpiła w życiu Babuni.

Utraciwszy żonę, pan Minister powołał córkę do swego boku, żądając, aby stanęła na czele domu i kierowała zarazem wychowaniem młodszego rodzeństwa, a mianowicie siostry swej Róży. Mieszkając i tak w Warszawie, pan Referendarz nie miał nic przeciwko temu, a tak dziewiętnastoletnia młoda kobieta od razu zajęła wybitne stanowisko w społeczeństwie Warszawskim. Dwojakię, a raczej trojakię obowiązki zaciężyły nad nią. Obok własnych powinności zony i matki, musiała postawić i rodzinne zobowiązania wobec ojca i rodzeństwa oraz światowe wymagania, które przy oficjalnem położeniu pana Ministra nie były małe. Babunia sercem i rozumem, miarą i taktem wszystkiemu umiała podostać, wszystko pogodzić, bez uszczerbku dla niczego i nikogo. I tak już w wiośnie życia zaprawiała się do trudnego zadania całej jej przyszłości, a mianowicie jesieni jej dni przedłużonych. Zawsze jej bowiem przypadało być środkiem, osią, ogniskiem całej rodziny, a zwłaszcza sercem, na którym wszyscy opierać się mieli.

Pan Minister musiał reprezentować w świecie urzędowym, a i do tego córki pomoc była mu konieczną. Zrazu wielka w tych przyjęciach panowała prostota. Podawano skromne wieczerze z dwóch potraw złożone, mimo najliczniejszego zebrania. Później jednak pan Minister wystawniejsze

---

<sup>12</sup> Tłumaczenie: „... *apopleksja nerwowa i surowicza.*”

jął dawać obiady, w większej części dla zakrycia przed Francuzami brzydkiego skąpstwa Prezesa Ministrów, p. Stanisława Potockiego. Nic ten ostatni nie chciał nigdy zrobić dla gości z zachodu, czysto przez oszczędność i ospałość. Schodzono się jednak licznie do domu pp. Potockich, mimo głodu na jaki się tam było wystawionem. Nieraz zupełnie niespodziewanie salony tłumnie się wypełniały. Pani Stanisławowa (Lubomirska z domu), widząc raz coraz liczniejsze u siebie zebranie, posyła kamerdynera do kuchni, aby tam coś do jedzenia odnalazł. Wraca sfrasowany, że nic nie znalazł i że w kuchni jest tylko baba. „*No to pokrajać i podać z winem*” - mówi niezmięszana pani Potocka. Pokazało się, iż nie o cieście lecz o pomywacze była mowa. Obiegały nieraz uszczypliwe wierszyki na oszczędność państwa Potockich. Babunia zachowała wiele z nich w pamięci, między innymi zabawny czterowiersz o jakimś niby to sułtanem przyjęciu w imieniny królewskie u Prezesa Ministrów:

„*Który dał summę na śniadanie,  
sessye zamiast obiadu,  
a do częstowania pono zawsze skory,  
zamiast wieczerzy, dał nawet nieszpory.*”

W tych okolicznościach Minister Łubieński poczuwał się do nieco wystawniejszego życia. Babunia wspominała między innymi, jak pewnej zimy, co tydzień, kilka fornałek z kaliskiego majątku Ojca jeździło do Gdańska, po świeże na oficjalne obiady ostrygi. Mimo jednak światowych obowiązków i wtedy już Babcia musiała wiele mieć rodzinnej powagi i usposobienie skłonne do skupienia i mniej błahego życia. Dowodem tego najjawniejszym jej wspomnienia i stosunki z owej epoki. Nigdy nie miała sympatii do osób zupełnie światem zaprzątynionych i dzierzących berło salonowych powodzeń. Czysta jej dusza odwracała się też od płochych i lekkomyślnych dam ówczesnej społeczności Warszawskiej, nawet kiedy ją nęcił dowcip lub jawna sympatia niejednej. Za to, gdy gdzie odgadła cnotę, szlachetność, delikatność, wyższe i podniosłe uczucia, natychmiast całym sercem Ignęła do takich wyjątkowych istot. To nam wytłumaczy jej żywą przyjaźń dla trzech sióstr Grudzińskich, od których nieco starsza, dziwną atoli harmonią usposobienia zbliżona, jakby dusz bliźnich wzajemnym zrozumieniem, odtąd stała i serdeczne zawiązała z nimi stosunki. Zrazu młoda mężatka rodzaj opieki nad nimi rozciągnęła, później życie miało zrównać ich jednakiem doświadczeniem i przeznaczeniem. Z najstarszą, której losy miały być tak wyjątkowe, a nieszczęśliwe, najmniej. Babunia zachowała stosunków, chociaż nie brak w listach księżnej Łowickiej czułych słów i pełnych zaufania świadectw dla Referendarzostwa Morawskich. Za to z panią Gutakowską, a więcej jeszcze z panią Jenerałową Chłapowską przyjaźń zawiązana niegdyś w Warszawie coraz ściślej się stawała, zamieniając się z latami w pewne przymierze zespolonych sił i dobrej woli ku szerzeniu zacnych wpływów i przykładów na ziemi Wielkopolskiej.

Babunia wracając pamięcią w owe czasy, chętnie przypominała jakie dowcipne lub trafne słowa obiegające salony Warszawskie. Przytoczę ich kilka. Gdy pytano raz Napoleona o przyczynę jego nadzwyczajnych powodzeń, odpowiedział bez wahania: „*Beaucoup de courage, un peu de bonheur, et surtout la bêtise d'autrui.*”<sup>13</sup> Innym razem dyskutowano przed Cesarzem o jego wieku. Przyznał się do lat czterdziestu. „*Je croyais, Sire, que vous en aviez trente-huit*”<sup>14</sup> - ozwała się pani Wincentowa Tyszkiewiczowa. „*Une année ou deux ne font pas de différence*”<sup>15</sup> - rzekł Cesarz. „*Au*

<sup>13</sup> Tłumaczenie: „*Dużo odwagi, trochę szczęścia, a przede wszystkim głupota innych.*”

<sup>14</sup> Tłumaczenie: „*Sądziłam, Sire, że Wasza Wysokość ma 38 lat...*”

<sup>15</sup> Tłumaczenie: „*Rok czy dwa, to żadna różnica...*”

*contraire, Sire, deux années d'une vie telle que la vôtre, ce sont deux siècles pour l'histoire!*<sup>16</sup>, przerwała pani Tyszkiewiczowa.

Przez ten czas Referendarz nie oszczędzał sił swoich dla usługi publicznej, a nigdy do zabaw światowych nieskłonny, wolne chwile poświęcał na dalsze kształcenie i wzbogacenie już i tak wysoce uposażonego umysłu. Wiecznie siedział wśród papierów publicznych lub książek, nawykając do tego życia wewnętrznego, które się wciąż w nim rozwijać miało. Raz ks. Szczepański, staruszek, nauczyciel pana Marcelego Czarneckiego, który często nawiedzał dom pp. Morawskich, spoglądając na młode stadło, ozwał się żartobliwie: „*Pani Referendarzowa pewnie wołałaby być książką niż żoną.*”

Młody Referendarz niepoślednie w Radzie Stanu zajmował stanowisko. Liczono się z jego zdaniem i pracą. W tejże Radzie znalazł on sposobność zbliżenia się do Księcia Józefa Poniatowskiego i wielka między nimi powstała sympatya, ugruntowana na wzajemnym szacunku. Referendarz podziwiał w ks. Józefie jasne poglądy i zdolności. Mawiał, iż on się nigdy nie narzuca z zdaniem, a ilekroć się odezwie, to zawsze z zdrową i praktyczną radą. Ks. Józef znów wyróżniał Referendarza osobną życzliwością, podczas gdy towarzysza broni Franciszka Morawskiego nie zdawał się lubić i nawet był mu trochę niechętnym, może skutkiem jakich rywalizacji salonowych, gdyż późniejszy generał i poeta wielkich u pięknych pań stolicy zażywał powodzeń. Referendarz tak gorąco kochał ks. Józefa, że gdy nadeszła wiadomość o jego zgonie znajdował się właśnie w Metz po drodze do Paryża i z zmartwienia dostał po raz pierwszy owych strasznych kurczów żołądka, które odtąd stać się miały plagą jego życia całego.

Z ówczesnych spotkań i znajomości Babcia wspominała księżną Jenerałową Ziem Podolskich, która w roku 1810 przybyła po długiej nieobecności do Warszawy, kiedy mąż jej przewodniczył sejmowi Księstwa Warszawskiego. Ci, co ją niegdyś podziwiali i pamiętali jej kibić i wdzięki z trudnością ją poznawali w tej zaschłej, zgarbionej i maleńkiej staruszce, że wyglądała jak pomarszczona mapeczka. Strasznie była zaniedbana w stroju, a nawet w ochędóstwie. Chodziła najczęściej w brunatnym, perkalowym szlafrocuku i białym czepek dziwacznie sterczącym na dość wysoko upiętrzonych loczkach.

Państwo Mostowscy należeli do koła bliższych znajomych Babuni. On tak doświadczonego i bystrym był politykiem, że nieomylnie odgadywał następstwa zdarzeń lub rokowań dyplomatycznych. Giełdziści cisnęli się do niego, aby korzystać z jego jasnowidzenia uprzedzającego dziennikarskie wiadomości. Ona bardzo światowa, kilkanaście jak twierdzono miała dzieci, wymierających w wieku niemowlęcym. Lub nawet pogubionych u mamek w różnych stronach. Pani Mostowska mawiała: „*Dobrze się stało, że wymarły, bo któżby mnie w tak licznej otoczeniu na obiad zaprosił?*” Obyczajem ówczesnym nierzadko bywało zastrzegać się przed zbyt licznymi odwiedzinami, zapraszając wyraźnie rodziców, aby przybyć raczyli bez konsolacyi.

Rychło atoli minęły dni świetne, a niepowrotne. Zaćmiła się gwiazda Napoleona. Nadszedł straszny rok 1812. Babcia miała czterech braci w tej kampanii. Młodzież ta rychlej dojrzewała w gorącej atmosferze wypadków pełnych doniosłości. Tadeusz Łubieński zostawiony bez życia prawie pomiędzy trupami w jednej z bitew rosyjskiej kampanii, postanowił resztę dni swoich poświęcić w kapłańskiej służbie. Gdy ojciec zwłoką całoroczną chciał jego powołanie wypróbować, utrzymywał się w tej świętej myśli ciągłym umartwianiem. Sypiał na gołej ziemi, wyrzekł się ulubionego napoju, kawy. Henryka kilkunastoletniego pacholęcia wypadki usamowolniły. W roku 1809 wypadało ważne papiery przewieźć z Warszawy do Drezna, każdy lękał się przedzierać przez snujące się zewsząd wojska. Minister Łubieński w kłopotcie, wyprawił czternastoletniego syna, który przemykając się na

---

<sup>16</sup> Tłumaczenie: „*Przeciwnie, Sire, dwa lata życia takiego jak Waszej Wysokości, to dwa stulecia dla historii!*”

przemian to wozem, to pieszo, to pod chłopską siermięgą dotarł do stolicy Saskiej i wręczył królowi pilnie strzeżone papiery. Fryderyk August rozczulony dzielnością polskiego młodzieńca w uniesieniu do serca go przytulił.

Szła kłęska po kłęsce. Odwrót wojsk, popłoch w kraju i świecie całym. „*Ah! ma chère*”<sup>17</sup> - odzywała się niedawno do mnie Babcia. „*On ne vivait pas dans ce temps-là!*”<sup>18</sup> Kiedy w styczniu 1813 roku Moskale zaczęli się zbliżać ku Warszawie, a Referendarz jako urzędnik musiał objeżdżać powierzone sobie departamenta, pan Minister wyprawił obie córki, Skarżyńską i Morawską, do Strzemierzyc, wsi należącej do Księstwa Siewierskiego, któremu administrował jego zięć Maksymilian Skarżyński. Babcia dopiero przed trzema tygodniami powiła była trzecie dziecko, córkę Zofię. Spieszyły dwoma powozami pełnymi drobnych dzieciaków ku granicy. Po drodze chłopstwo zastępowało im drogę kilkakrotnie, lżąc i przeklinając, że ich szlachta odbiega i zostawia na łup nieprzyjaciela. Postanowiły schronić się w Żywcu, własności arcyksięcia Albrechta, do którego Minister Łubieński napisał list z prośbą o ugoszczenie córek. Miejscowość była im znaną. Jeździły tam niegdyś do krewnych swoich Wielopolskich. Teraz zarządca zamku jął robić trudności w przyjęciu i dopiero zmiękł na widok spazmów pani Skarżyńskiej, które acz silna i hartowna, znużeniem i obawą o dzieci przelotnie dała się złamać. Tam kilka miesięcy w względnym pozostały spokoju. Trzy pokoje i szczupłe zasoby musiały im wystarczyć. Raz Referendarz zajrzał na chwilę, to znów żona pospieszyła ku niemu do Krakowa, gdzie się Rada Stanu była przeniosła. Drogę tę odbyć musiała krętymi drózkami wśród wąwozów i przepaści, gdyż traktem wciąż ciągnęły wojska. Po sześciu miesiącach rozłączenia, udała się nareszcie Babcia za mężem i ojcem do Drezna, dokąd król Saski wzywał polską Radę Stanu. Jechała z dziećmi na Pragę i różne inne niemieckie miasta. Stanąwszy w Dreźnie, zamieszkała najpierw na przedmieściu i gdy tam pewnego dnia zasiadła w ogrodzie, ujrzała tuż przed sobą opodal stojącego Cesarza w historycznej szarej kapocie. Doglądał właśnie sypania szańców i wydawał rozkazy dotyczące ufortyfikowania Drezna. Na widok Napoleona, Babunia porwała trzyletniego synka bawiącego się przy niej, aby mu wskazać sławnego męża w nadziei, że mu się to wrażenie w pamięć wryje.

Później z pierwotnego mieszkania przeniosła się do Coselsche Palais. Obawy bliskiej bitwy na tę zmianę wpłynęły. Cesarz zajmował pałac Marcolini.

Pomimo minionych klęsk, a grożącego niebezpieczeństwa, życie w Dreźnie nadzwyczaj zrazu było ożywione. Częste bale powtarzały się u różnych wysokich dygnitarzy. Dworskie zabawy były na porządku dziennym, zwłaszcza przedstawienia dramatyczne sławnych aktorów z Comédie-Française. Gdy przed kilkoma laty spotkałam raz w Oporowie panią Modrzejewską, a ta ze zwykłym wdziękiem i dobrocią dawała Babuni próby swego znakomitego talentu i nadzwyczajnej deklamacji, miałam sposobność przekonania się, jak dalece Babcia była czułą na wrażenia sztuki dramatycznej. Co chwilę wstawiała, aby w zachwyceniu dziękować na przemian artystce i wnuczce, ceniąc w jednej osobie i śliczny talent i serdeczną uprzejmość, a potem zwracała się ku mnie i nuż przypominać jak w roku 1813 widziała w Dreźnie Talmę, podziwiała piękną pannę Georges. „*Ah! ma chère enfant!*”<sup>19</sup> - mówiła z zapałem. „*Comme Talma était superbe, comme il savait prendre des poses classiques, des attitudes nobles et gracieuses!*”<sup>20</sup> Naprzeciw sceny było zgotowane miejsce dla Napoleona, obok dla królów, bo

---

<sup>17</sup> Tłumaczenie: „*Ach, moja droga...*”

<sup>18</sup> Tłumaczenie: „*Nie żyliśmy w takich czasach!*”

<sup>19</sup> Tłumaczenie: „*Ach, moje drogie dziecko!*”

<sup>20</sup> Tłumaczenie: „*Jakież Talma był wspaniały, jakże potrafił przybierać klasyczne pozy, szlachetne i wdzięczne postawy!*”



wówczas miał on samych prawie królów w swoim otoczeniu. Z tyłu dygnitarze i generałowie, który stać musieli do końca przedstawienia. Z obu stron w amfiteatrze miejsca dla zaproszonych gości.

Babunię zrazu zaproszono w charakterze córki Ministra, nie obejmując Referendarza w tym zaproszeniu. Urażona tem chciała odmówić, ale Referendarz jej wskazał, że co wolno w prywatnych i towarzyskich stosunkach, nie uchodzi wobec monarchy. Poszła więc, ale niechętnie. Spozrzegł jej zafrasowanie marszałek dworu hrabia Turenne i uprzejmie o powód zapytał. Odpowiedziała śmiało i szczerze, że pominięto jej małżonka w inwitacji, „*et je n'ai pas l'habitude de courir le monde sans lui.*”<sup>21</sup> Uśmiechnął się Turenne na tę skargę, której zapewne nie często z ust francuskich dam słyszał, ale odtąd Referendarz stale wraz z żoną otrzymywał karty zapraszające.

Stroje bywały świetne na tych zebraniach, suknie krótkie i wąskie z przypinanymi powłokami. Z tych powłok Babcia dorobiła sobie później długie rękawy i gorsy, gdy dworskie suknie wypadało zamienić i przekształcić na powszednie wiejskie ubrania. Babunia ubierała się zawsze skromnie, lecz gustownie. Najczęściej kładła suknię białą krepową, a do włosów wpinała nieco zieloności. Mawiano o niej żartując z tej wdzięcznej prostoty: „*Pani Morawska gotowaby jaśminu gałązkę na głowę włożyć, byle jej było do twarzy.*” Wtedy też najczęściej widywała Cesarza. Został jej w trwałym wspomnieniu czujący uśmiech Napoleona oraz spojrzenie nader przenikliwe i błyskawiczne, które zdawało się w głąb duszy zaglądać. Jeden tylko wzrok hrabiego Rogera Raczyńskiego później jej przypominał te oczy Napoleona. Zagadywał raz po raz do pań zaproszonych, ja częściej w sposób zupełnie banalny. One zaś odpowiadały zmieszane bardzo nierzadko głupstwem. Jedna z naszych Polek słynąca z elegancji i ... ograniczenia, przywdziała raz suknię o bogatym deseniu w różnobarwne motyle. Cesarz się zbliża pytając: „*Vous avez une étoffe de Lyon?*”<sup>22</sup> A ta wylękniona odpowiada: „*Non, Sire, papillons!*”<sup>23</sup>. Była to jedna z anegdotek, która zawsze Babcie do serdecznej pobudzą wesołości, ilekroć ją sobie przypominała.

Pani Stanisława Potocka tak lubiła młodą referendarzowi, że się obyć bez niej nie mogła i wciąż ją do siebie zapraszała. Przyjaźń była to nieco nużąca i wymagająca, raz że pani Potocka była bardzo nie zabawna, a po wtóre, że nie licząc się z różnymi obowiązkami młodej matki, zatrzymywała Babcie przy sobie i np. raz na zawsze ją mieć chciała lektorką swoją. Sama wchodziła do kąpieli i tak słuchała głośnego czytania, a Babcia ze zwykłą uprzejmością nie umiała nic odmówić starej życzliwej przyjaciółce.

Z owych czasów względnie swobodnych, chętnie Babunia przypominała bliższą znajomość z Marcinem Badenim, którego rzadki dowcip ożywiał koła polskiego towarzystwa. Kochała się w nim wtedy na zabój panna Poniatowska, a Babcia daremnie próbowała jej wyperswadować daremność tych uczuć wobec obojętnego na nie Badeniego.

Ale niebawem huk dział zagłuszył drezdeńskie zabawy. Groza wojny dreszczem wszystkie przejmowała serca. Rychło Babcia miała poznać z bliska straszne strony ludzkich zapasów. Nieprzyjaciel ostrzeliwał miasto. Zalecono kobietom chronić się w domach, nie wychodząc na ulicę. Babcia zrazu usłuchała. Powoli jednak taka ją ogarnęła trwoga i niepokój o los ojca i męża, że niepomna na ostrzeżenia i niebezpieczeństwo, zostawiła dzieci pod opieką młodziutkiej siostry, a sama wybiegła na miasto. Szła prosto przed siebie, nie wiedząc ani gdzie idzie, ani dokąd dojdzie, aż tu na jednym placu spostrzega dwóch ludzi czerpiących tuż przed nią wodę u studni. Wtem dziwny jakiś świst słyszy i widzi, jak ludzie ci padają obydwoj. Silna ręka ją obejmuje i unosi, aby ją przed

---

<sup>21</sup> Tłumaczenie: „...a nie mam zwyczaju podróżować po świecie bez niego.”

<sup>22</sup> Tłumaczenie: „... Czy pani suknia jest z Lyonu?”

<sup>23</sup> Tłumaczenie: „...Nie, Sire, z motylami!”

odłamkami pękającego granatu ocalić. „*Nie tu pani miejsce* – odzywa się głos znajomy generała Słubickiego – *niech pani wraca do domu.*” Referendarzowi tłumaczy się, że dłużej niepokoju o swoich znieść nie mogła, i dopiero, gdy otrzymuje zapewnienie, iż Rada Stanu, a więc i Minister i Referendarz, zesłała się na sessji u pana Stanisława Potockiego, pozwala, aby ją odprowadzono do mieszkania. W tymże czasie, gdy Księżna Antonina Sułkowska, bawiąca także w Dreźnie przechodziła z domu na ulicę, aby wsiąść do karety, idącej tuż za nią mamce z dzieckiem granat urwał obie nogi. Dziecko uszło bez szwanku. Była nim Taida Sułkowska, pierwsza żona hrabiego Henryka Wodzickiego.

Po klęsce Lipskiej armia francuska cofa się ku Paryżowi, a Rada Stanu temi samymi postępuje szlaki. W Metz Babcia podejmuje u siebie i raczy herbatą całą generalicję polską z Dąbrowskim na czele. Tamże, jak już wspomniałam, dochodzi ich pewna wiadomość o zgonie Księcia Józefa. Uczynność generałowej Morand, Parysów z domu, ułatwia ziomkom pobyt i przejście przez to miasto. Nareszcie stawają w Paryżu, gdzie ich czekają same biedy, klęski i rozczarowania. Tam Referendarzowa czwarte z kolei rodzi dziecię. Spodziewano się syna, na chrzestnego ojca ofiarował się Kościuszko. Gdy przyszła na świat córka, Referendarz nie śmiał trudzić Naczelnika. Chciał mu zwłaszcza oszczędzić kosztów, znając jego zacieśnione położenie. Przyszedł po kilku dniach odwiedzić przyjaciół i na kołysce nowonarodzonej złożył swą kartę wizytową. Babunia córce dała imię Eugenia, z entuzjazmem dla Eugeniusza Beauharnais, najczystsze bohatera tej epoki. Uwielbienie Babci dla niego podsycił w niej adjutant Księcia Eugeniusza, Jenerał Klicki, który częstym u pp. Morawskich był gościem i wciąż z zapałem opowiadał o swym wodzu.

Nadeszła katastrofa końcowa i abdykacja Cesarza z rozwianiem wszystkich nadziei, jakie Polacy do jego gwiazdy przywiązali. Młody Henryk Łubieński, wcisnąwszy się niepostrzeżenie na dziedziniec Zamku Fontainebleau, widział pożegnanie Napoleona z orłami wojsk swoich. Gdy Cesarz zażądał szklanki wody i wypił ją przed wyjazdem, młody Polak rzucił się naprzód i szklankę tę od służby odkupił. Zachowano ją w Oporowie, gdzie ją później widziałam. Wyróżniona litera N odznaczała tę cenną pamiątkę.

Dziś co się legenda Napoleońska tak sromotnie rozwiła, a sąd historii potępił pierwszego jej ojca, trudno nam zdać sobie sprawę tak z zapału jednej epoki, jak z bólu idącego po niej zawodu. Trzeba się przenieść w owe czasy ogólnego porwania wirem zdarzeń i powodzeń, aby ocenić rozczarowanie i znękanie całego pokolenia. Żeby przynajmniej ojczystem odetchnąć powietrzem! Ale nie, brak środków zmuszał do siedzenia w Paryżu, a tymczasem bieda zaglądała w oczy. Pan Minister zachorował, najpewniej z zgryzoty. Referendarz martwił się i literalnie wiądnął w beczynności przymusowej. W domu było czworo maleńkich dzieci, dorastająca panienka, Róża Łubieńska. Babcia wszystkim dodawała otuchy i męstwa, a gdy się zasoby wyczerpnęły, sprzedawała swe kosztowności, co by zaradzić potrzebom licznej rodziny. Nareszcie wysłano p. Henryka Łubińskiego do kraju, który zebrałszy znaczną kwotę pieniędzy w majątkach ojca, przesłał je do Paryża, aby ułatwić powrót całej karawanie. Ruszyli do domu na Wiedeń, gdzie Babcia dla choroby dzieci dłuższy czas się zatrzymała, a następnie pożegnawszy ojca, udała się wraz z mężem do jego majątków w Poznańskim.

Na tem się kończy okres pierwszy życia ukochanej naszej Babuni. Epoka to świetna i światowa jak sen jaki, teraz przechodzi w rzeczywistość surową, a świętą i zobaczymy jak się w niej ona odnaleźć potrafi. Z wiru i waru świata przenosi się w ciszę wsi Wielkopolskiej, z Warszawy i Paryża do Luboni, z dworu Cesarskiego do dworku szlacheckiego, z zbytku i wygody w stosunkową biedę, bo nie darmo wojna przeszła przez świat cały, nie same wstrząsnęła ona trony i monarchie. I pojedyncze majątki srodze ucierpiały. Zaledwie najściślejszą oszczędnością wypadało chleb powszedni dzieciom zapewnić. Co za odmiana i przesilenie! Co za trudne przeistoczenie warunków życia i bytu! Innej miary charakter byłby z skargą i niezadowolaniem przyjął nowe przeznaczenie. Babcia nie tylko zrazu mężnie i pogodnie na los zmieniony się zgodziła, ale nigdy żadną skargą nie zdradziła tęsknoty za tem co było i niepowrotnie minęło. Owszem, im bardziej na pozór zacieśniało się jej życie, tem więcej ona serce swe i świat swój duchowy rozszerzała. Nieraz, gdy siedząc przy niej obok jej biurka słuchałam jej

opowiadań z owych świetnych jej młodości czasów, mimowolnie oko moje zatrzymywało się na wąskim paśmie ogrodu Oporowskiego granicą gęstego z wiązów szpaleru, odciętego od reszty świata i wspominałam sobie ile to już lat Babcia spogląda wiecznie na ten maleńki zakątek ogródka, na szczyty tych samych drzew i główki tych samych kwiatów, i to jej wystarcza i zadawalnia ją, a ducha jej nie więzi, ani zamyka w ciasnym obrębie zwężonego punktu widzenia. Nigdy ja w niej nie zrozumiałam, nie odczułam, czym są władze i siły duszy nieśmiertelnej. A wtedy żywcem stawały mi w myśli i pamięci słowa Ojca Lacordaire, jak wraz do Babuni naszej zastosowane: „*J'ai dit adieu aux montagnes, aux vallées, aux fleuves, aux ombrages inconnus, pour me faire dans ma chambre entre Dieu et mon âme, un horizon plus vaste que le monde.*”<sup>24</sup>

Nie zatęskniła Babcia za światem, ale kto wie ile odczuła stanowcze rozłączenie z rodziną, którą tak gorąco miłowała. Pierwszy raz wypadło jej na dobre oddalić się od ukochanego Ojca i braci, pożegnać siostrzyczkę, która była jej córeczką i tak po macierzyńsku jej wychowaniem kierowała. Wśród pasma tyłu zasług w życiu naszej Babuni, na osobną uwagę i wzmiankę zasługuje wykształcenie takiego serca, jakim było serce późniejszej pani Róży Sobańskiej. Róży wygnańców, opiekunki Sybiru, serdecznej matki nieszczęśliwych. Teraz i to zadanie miłości, tak wdzięczne i miłe Babci, wypadało jej opuścić i pożegnawszy wszystko, pójść za mężem w nieznane stosunki i trudności. Wśród wielu innych, osobną trudnością naznaczonym był stosunek do blisko Luboni zamieszkałej w Oporowie teściowej, Zofii z Szczanieckich Morawskiej. Pani ta zacna i rzędna, nieco żywego była temperamentu i przy wielkiej cności, mniej przyjemna była w codziennym obejściu. Dość, że synowej nie łatwo przyszło nagiąć się do częstego, niemal ciągłego obcowania z osobą, którą więcej szanowała, aniżeli kochała, a która zapewne niewiele dzieliła z wspomnień lub upodobań żony swego syna. Osiemnaście lat Babcia przepędziła w cichym dworku Lubońskim, opromienionym dziś rzewną, a poetycką sławą Jenerała Morawskiego. Na owe lata przypada głównie macierzyńskie posłannictwo naszej ukochanej Babuni. W domku tym, do którego czworo już z sobą dzietek przywiozła, rodziła w boleści, wychowywała w znoju i osobistym trudzie całą swą liczną gromadkę. Pan Bóg błogosławił ją z kolei szesnaściorgiem dzieci. Jedenaście przeżyła i z poddaniem się oddała Bogu, za całą pociechę mając sobie, iż żadnego nie utraciła dla nieba. Ale stacye to były jej męki, zwłaszcza gdy na pięcioro i Teklę, potem dzietek w drobnym w drobnym pogrzebanych wieku, przyszło jej tracić w wiosnie życia dwie najstarsze córki Zofię i Teklę, potem czterdziestoletnią matkę licznej rodziny, ukochaną jej Henryettę Chłapowską, jedynego syna Wojciecha w 66<sup>ty</sup> roku życia, Siostrę Sewerynę w 56<sup>ty</sup> roku życia. Co tam bólu, co łez i krwi serca w tej suchej wzmiance i wyliczeniu urodzonych i utraconych dzieci! W przededniu swej śmierci, przytomna wciąż Babunia, nagle zaczęła jakoby majaczeć i niepokoić się gorączkowo wołając obecnego jej wnuka, Ojca Maryana: „*Wytłumacz mi proszę - mówiła mu - powiedz, co to znaczy, iż ja wciąż przed sobą widzę liczbę szesnaście? Czuję, że to hallucynacja, ale czemu wciąż ta jedna cyfra w oczach mi stoi, zawsze tylko szesnaście?*” Wszystkim nam się z ust i serca jednaka wyrwała odpowiedź, że to liczba jej dzieci i dusz przez nią chwale Bożej przysporzonych. W owej chwili oświeconej już słońcem wieczności, oglądała jaśniej przebyte drogi swego macierzyńskiego posłannictwa i może widziała się za łaską Bożą wchodzącą do nieba w orszaku szesnastu dzieci, które jej Bóg powierzył jako talenta Ewangelicznej przypowieści, aby je rozwijała, wyhodowała na ziemi i w godzinie ostatecznego obrachunku zdała sprawę z sposobu w jakim szafarzowała oddanym sobie skarbem. Boć cóż droższego nad duszę dziecka swego? A za każdym zbawionem dziecięciem swoim, matce w niebie przybywa nowa korona światłości, nowy stopień chwały.

Dzieci te przybywały na świat w dziwnie regularnym porządku. Miała ich Babunia szesnaście, dwanaście córek i czterech synów, przegradzających się w ten sposób, że najpierwszy był syn, potem cztery córki, znów syn, dwie córki, syn, cztery córki, syn, dwie córki. Oto ich imiona w porządku następstwa:

1. Wojciech (z Grocholewską, potem ksiądz).
2. Tekla (+ 1828 17<sup>letnia</sup>).

---

<sup>24</sup> Tłumaczenie: „*Pożegnałem góry, doliny, rzeki, nieznane lasów cienie, aby sobie w mojej izdebce wytworzyć, między Bogiem a duszą moją szerszy od całego świata widnokrąg.*”

3. Zofia († 1832).
4. Eugenia (Józefowa Morawska).
5. Henryetta (Stanisławowa Chłapowska).
6. Felix († dziecko).
7. Paulina (obłąkana).
8. Oktawia († dziecko).
9. Józef († dziecko).
10. Irena (de la Borre de Bodenham)
11. Róża (została w domu i pielęgnowała matkę).
12. Seweryna (Siostra Miłosierdzia).
13. Anna († 1832).
14. Jan († dziecko).
15. Marya (Urszulanka Bernarda).
16. Ludwika († dziecko).

Wychowanie tak licznych potomstwa odtąd stało się głównym zadaniem życia Babci. Wszystko, co tak pilnie wciągała w siebie w młodych latach, męskie nauki p. Rollay, ścisła podstawa wykształcenia wszechstronnego gruntownie odebrana w stolicy, wszystko to teraz zużytkowała dla swoich dzieci. Choć osłabiona ciągle powtarzającymi się słabościami, umęczona czuwaniem przy niemowlętach, sama uczyła swe dzieci, kształciła ich umysł i serca, kierowała zdolnościami, charaktery wyrabiała. W braku podręczników naukowych w prawidłach koniecznej oszczędności, która się i do kupowania książek rozciągać musiała, sama pisała wszystkich gałęzi elementarnej, a nawet wyższej nauki, liczne zeszyty historii, mitologii, nauki religii. Dla utwierdzenia w pamięci młodocianej niektórych ważniejszych nauk, ujmowała je w rytm i rym przystępny. Pisała wierszem potoczystym Historię Świętą, zebranie nauki i zasad Ewangelicznych, historię polską. Rozrywało sobie te jej utwory, obiegające w ręko piśmie cały kraj i najdalsze domy. Sama była nauczycielką, boną, piastunką dzieci swoich, a jakby jej nie dość było własnej troski, przybrała ociemniałą wiejską dziewczynę, która instynktem i roztropnością zastępując zmysł utracony, dopomagała jej w pilnowaniu i kołysaniu młodszych dzieci. Któż z nas nie przypomni sobie z rzewnym uczuciem miłej postaci ślepej Jadwiguszki, która później wnuków do snu usypiała pieszczotami i opowieściami swemi, a taka była zawsze czysta, spokojna i słodka w powadze swego kalectwa! Zrosła się ona z przeszłością Oporowa, a gdy spoczęła na wiejskim Cmentarzu, ubogiej wieśniaczce Jenerał Morawski taki położył napis:

*„Bez szemrania na losy, choć ciemna z powicia,  
Przeszłą kornie z swym Krzyżem całą drogę życia,  
Żyła w pracy, czystości, wierze, modłach, skrusze,  
Noc jej oczy zaćmiła, Bóg rozjaśnił duszę.”*

Prostota domku Lubońskiego przechodziła wszelkie pojęcia, zwłaszcza dzisiejsze. Dzieci chodziły w grubym płótnie domowej roboty, dorastające panienki w modrych drukowanych sukienkach, co im nie ujmowało wdzięku. Po większej bowiem części, dzieci Babci bardzo były ładne. Dzielili się na dwa typy odrębne i to tak wyraźne, jak się w żadnym Innem nie spostrzeżają rodzeństwie. Typ jasny odznaczał się świeżością cery i prześlicznymi ciemno blond włosami. Z tych najpiękniejszą była córka Irena. Typ ciemny o kruczonych włosach, odziedziczył był znowu głęboko myślące szafirowe oczy Referendarza, a wśród nich górowała rysami, wdziękami i wyrazem Henryetta. Oczywiście przy tak licznej dziatwie trudno było Babci każdemu osobne dawać lekcje. Więcej ich rozwijała, aniżeli nauczała. Więcej zadawała pracy, aniżeli jej odrabiała z każdym po kolei. Ten system wpłynął zapewne na rozwój może zbyt silny indywidualizmu jej dzieci, których głównym znamieniem była silna i świadoma wola. Ale wiadomo co może w życiu, jaką bywa dźwignią hart woli dobrze pokierowanej, opierającej się głównie na poświęceniu.

A tak rozlicznym obowiązkom matki nie poświęcała Babcia bynajmniej innych swoich obowiązków żony i pani domu. Jaką była towarzyszką życia męża swego, jak mu wszystko ułatwiała i osładzała, wiedzą ci, którzy jeszcze na zachód ich pożycia patrzeli. Nam chyba z tradycji ocenić przychodzi

Referendarza i wytłomaczyć sobie miłość powszechną i cześć ogólną jaką umiał wzbudzać. Z daleka patrząc, po latach wielu, niejedna rzecz wyda nam się zagadkową, jak np. ten umysł przede wszystkim skierowany ku abstrakcjom filozoficznym, potrafił się nagiąć z obowiązku i konieczności do praktycznych stron życia. Jakim sposobem ten prawnik tak znakomitym stał się gospodarzem? Majątek oczyścił, przysporzył mrówczą codzienną pracą? Jakim sposobem mąż ten dziwnej łagodności usposobienia, niemal kobiecej delikatności serca, tak dobrze umiał sobie radzić w trudnościach z włościanami i nie tylko dobrym, ale roztropnym i praktycznym być panem? Wiele z tej równowagi niezawodnie wniosła mu w życie dobra żona, ten skarb nad skarbami, który trzy węgly domu stanowi. Ona mu była radą, pomocą, wyręczeniem, wniosła w jego progi nie tylko ład i szczęście, ale i te podniosłe ideały, których łaknęła jego dusza w powszedniości życia do jakiego może było mu trudno się przyzwyczaić. Czy godzi się do tego harmonijnego stadła zastosować wiersze Tennysona, który zdaje się tak dobrze ich wzajemny określa stosunek:

*Kobieta nie jest mężem nierozwitym,  
Lecz czemś odmiennem; gdybyśmy ją mogli  
Zmienić w męczyznę, umarłaby miłość,  
Ta, której węzeł najdroższy kojarzy  
Nierówne z równem, lecz zgodne w różnicy.  
Wszakże z lat biegiem równać się powinni,  
Mąż coraz więcej stawać się z kobiety,  
A ona z męża; on winien zyskiwać  
W cnocie, w słodyczy, nie tracąc na sile  
Co światem trzęsie. - ona myśl rozszerzać  
Nie słabnąc w skromnych obowiązków dziele,  
Aż się do męża tak w końcu ułoży,  
Jak do słów wieszczych czarowna muzyka.*

Z wspomnień i tradycji widzimy jak się kompletowali państwo Referendarzostwo wzajemnie. Ona była pełna żywości i zapału, on rozważli i spokojny. Spokój zewnętrzny i wewnętrzny był głównym znamieniem Referendarza i zapewne jednym z powodów miru, jakiego zażywał w całym społeczeństwie. Niebawem też coraz wybitniejsze w Księstwie jął zajmować stanowisko. Nic się bez niego nie robiło w kraju. To pisał projekt konstytucji, to regulował stosunki włościańskie, jeździł na zборы obywatelskie, powoływany bywał do Poznania i Berlina. Ilekroć jakie ważniejsze wypracowywał pismo, prosił żonę, aby mu śpiewała. Babcia posiadała głos miły i wdzięczny, a tak dobre ucho, że jeszcze w ostatnim roku życia nuciła dokładnie spamiętane arie Paisiella lub Mozarta, zwłaszcza sławny duett z Don Juana: „*Là ci darem la mano.*” Tak zaś była czułą na muzykę, że trudno jej było większą sprawić przyjemność, jak śpiewając lub grając przy harmonium, które nadzwyczaj lubiła. Na żądanie tedy męża siadała do klawikortu, bo tak stale fortepian zwykła nazywać i śpiewała, dopóki sobie tego życzył. Nastroiwszy tak i dostroiwszy myśli, Referendarz długo się w zadumaniu przechadzał, zaczem usiadłszy do biurka, całą rzecz z góry obmyślaną, jednym rzutem na papier przelewał. Z powodu tego przechadzania się zięcia po pokoju, kiedy miał przed sobą jaką ważniejszą pracę, pan Minister zwykł był mawiać: „*U jednych rozum w głowie, u Morawskiego chyba w butach, że tak każdą rzecz wydeptać musi.*” Zwykle jego plany i projekta nosiły cechy bardzo jasne i praktyczne, niekiedy jednak umysł spekulacyjny wywodził go poza zakres naznaczony. Pewnego dnia miał napisać jakiś projekt dotyczący ulepszenia dróg, czy osuszenia bagnisk. Gdy przystąpił do odczytania owego projektu na zebraniu państwowem jeden z radców dowcipnie się odezwał: „*Ależ my chcemy fizyki, nie metafizyki.*” Tak jednak uznawano jego zdolności i poglądy, że nawet nieprzyjaciele czuli ową wyższość i z nią się rachowali. Ofiarowano mu nawet stanowisko Naczelnego Prezesa Prowincji, odmówił wszelako z dwóch powodów. Raz, że wiedział, jakby miał ręce związane i niemożność czynienia dobra swoim ziomkom, a z drugiej strony, jakby ciż ziomkowie go sądzili, gdyby przyjął urząd z rąk wroga, co wówczas rozumiano.

Książę Antoni Sułkowski, bliski sąsiad Oporowa, na każdym kroku życia publicznego chciał mieć Referendarza przy sobie.<sup>25</sup> Człęk prawy i zacny, Książę nie odznaczał się świetnymi zdolnościami, miał atoli trafny zmysł w ocenianiu ludzi i dlatego na każdej drodze pragnął mieć świątym doradcą i współpracownikiem Referendarza. Przyjaźń ich zaczęła się głównie od chwili, gdy książę Antoni skutkiem może zresztą niebacznie danego słowa, odprowadziwszy wojsko polskie do granicy Francuzkiej, wrócił sam do kraju w szczupłym gronie dzielących jego zapatrywania, zaczem zapaleńcze wśród ziomków głowy miały mu za złe odstąpienie Napoleona i nikt z początku w Rydzynie nie bywał. Jeden Referendarz rozumiał uczciwe pobudki postanowienia Księcia i często go odwiedzał, co zobowiązało Sułkowskiego na całe życie i było początkiem ustalonych stosunków kilku pokoleń rydzyńskich z domem Oporowskim.

Znajdowała też Babcia w stosunkach sąsiedzkich miłe dla swych dzieci rozrywki. Córki jej z kolei miały rówieśniczki w uroczych księżniczках Sułkowskich, córkach ukochanej jej Ewuni, dalej w dwóch domach Mycielskich, Drzewcach i Rokossowie. Nie szukając daleko świata znajdowała się rozrywka w granicach prostoty i wiejskiej swobody. W Rydzynie mianowicie taka panowała skromność w przyjęciu, że nie jeden liczny i wesoły wieczór tańczący odbył się przy grzańcu, piwie i słodkiej ze śmietaną kaszce. Ale wyprzedzam nieco bieg opowiadania. Zanim bowiem Babunia jeła myśleć o rozrywce dla swej dziatwy, raz po raz z siostrą zaglądała do odbiezanego przez się świata i przelotny brała udział w głośniejszych zjazdach Poznańskiego towarzystwa. Kosztowało ją nie mało odjeżdżać domu i dzieci, ale cóżby dla ukochanej nie zrobiła Rózi? Jeździła tedy czasem na Świętojańskie bardzo świetne na ów czas terminy, np. w roku 1817<sup>ty</sup>, w którym specjalnie się bawiono. Epoka ta, tak bywała świetną corocznie, iż Wielkopoleanie z jak najdalszych stron ściągali, aby nie pominąć obywatelskiego zebrania. Babcia wspominała pana Jaraczewskiego, który nie mając już żadnych w kraju interesów z nawyknięcia rok rocznie z Paryża do Poznania nawracał i swojemi przybywał końmi. Szaleństwa pana Wiktora Szołdrskiego wypełniały ówczesne roczniki zabaw towarzyskich. I tak raz Babcia z panną Różą została zaproszona na bal w Czaczu. Przybywają, aż tu wywiązuje się z jednej zabawy druga, kostiumowa. P. Szołdrski bierze na siebie koszta strojów i masek, sprowadza kupców, krawców z Poznania. Naprędce szyją się ubiory charakterystyczne, snują się maski i różnorodne postacie, a swawola pana domu posuwa się do tego stopnia, że urządza szlichtadę z Czacza do wsi sąsiedniej po rozsypanej grubą warstwą soli!

Z domów rodzinnych, które częściej w Wielkopolsce nawiedzać jej przychodziło, najczęściej Babcia opowiadała nam o Godurowie i stojącym tam po dziś dzień w nieco zmienionym kształcie pierwotnym „Dworca mego Dziadka”, opiewanego przez Jenerała Morawskiego. Mieszkał tam p. Stanisław Szczaniecki, ulubiony brat jej teściowej, Zofii Morawskiej. Był on ślepy od urodzenia. Ospa w dzieciństwie pozbawiła go wzroku, ale jak często u ociemniałych bywa, nadzwyczaj był towarzyski i wesoły, i największą mu było przyjemnością licznych podejmować gości. Muzyką pocieszał się w swem kalectwie, prawie z instynktu nauczył się grać na skrzypcach i nie znał większej radości nad gromadzenie u siebie młodzieży, którą zachęcał do tańca, stawając sam z swemi skrzypczkami na środku sali i przytupując do taktu granym przez siebie ochoczym mazurkom. Gwaro tam było zawsze i ludno. Zarządzała domem niemłoda już panna Mańkowska, która troskliwą opieką otaczała niewidomego. Dziwnie w owym czasie obfitość starczyła za komfort, nie znano wygód, goście rozmieszczali się jak mogli po kątach. Babcia u panny Mańkowskiej jak najprymitywniejszy znajdowała nocleg., ale natomiast obiady były huczne i nieskończenie długie. Podczas gdy większe domy dawały już przykład prostoty i wstrzemięźliwości, w szlacheckich dworach utrzymywała się jeszcze tradycja Saskiej epoki. W Godurowie np. po zupie szły paszteciki lub flaki, następnie sztuka mięsa, dalej prosie w potrawce, melszpejz słodki, druga potrawka z kaczek, pieczone i wety, a wszystko często, gęsto zalewane winem. Po tak sutym obiedzie, sam gospodarz wynosił się natychmiast do sypialni, kładł się bez ceremonii na łóżko, prosząc gości, aby mu śpiewali. I tak Babcia, nieraz całemi godzinami drzemiacemu starcowi nucić musiała. Właściciel Godurowa pożyczyl był niegdyś naszemu pradziadowi, a szwagrowi swemu, pewną sumę, jeszcze na zakupno

---

<sup>25</sup> Co do tego ustępu, autor się myli. Odsyłamy czytelnika do dołączonej kartki.

Oporowa. Przez długie lata ściągał należące mu się procenta w naturze, posyłając rok rocznie wozy po siano i kapustę do Luboni. Gdy przyszło do działów po jego śmierci, jedna tylko pani Zbijewska była dość majątną, aby spłacić resztę spadkobierców i kupić Godurów, który wraz z wianem jej córki przeszedł na własność Żóttowskich.

Mile też zawsze Babunia wspominała sędziwą właścicielkę Kobyłopola p. z Mielżyńskich Mycielską, osobę pełną rozumu i serca, która tak kochała Referendarzostwo, że gdy się dowiedziała o ich obecności w Poznaniu, zaraz nadbiegała, nie dając sobie czasu uzupełnienia nawet swego ubioru. W pantoflach wciągniętych na boscie nogi, dosiedziała tak nieraz aż do wieczora. Pewna oryginalność nie odejmowała jej wdzięku niezaprzeczonej wyższości. Babunia tak się przyzwyczaiła w niej widzieć starsze społeczne pokolenie, że potem do końca życia, następnego właściciela Kobyłopola, a syna owej znakomitej pani, nazywała zawsze *le jeune*<sup>26</sup> Mycielski, choć temu ósmy już liczył się krzyżyk i cała Wielkopolska zwała go starym panem Mycielskim.

Z dziwactw owej epoki, warto za Babcią przypomnieć, iż też pani z Mielżyńskich Mycielska, rozstawszy się z swym pierwszym mężem Gajewskim, a chcąc go pocieszyć, wyswatała go z kuzynką drugiego męża swego, Jolantą Mycielską, prawdziwy ideał cnót niewieścich, babką p. Wawrzyńca Engeström.

W bardziej ożywionym niż dziś Poznaniu, układano niekiedy wodne przejażdżki na Warcie, spacerować z pochodniami do Kobyłopola. Dom Księstwa Namiestnikostwa Radziwiłłów, stanowił punkt środkowy ówczesnego towarzystwa i obecnością jakoby dworu, nadawał Poznaniowi pozory stolicy. Babcia częstym bywała gościem u Namiestnikostwa. Księżna Ludwika Pruska, rychło się na jej wartości poznała, a gdy Namiestnik zasięgał rad Referendarza, ona z jego żoną najmiłsze trawiła chwile. Pewnego dnia Babcia przyprowadziła z sobą małego Wosia, zalecając mu grzeczność dla swych książęcych rówieśników. Ledwo jednak zasiadła do rozmowy z Księżną w drugim salonie powstał krzyk przeraźliwy. Zrywają się obie matki, biegną, aż tu Babcia z konfuzyją spostrzeża, iż jej syn powalił już dwóch małych Radziwiłłów i zwycięsko na ich barkach usiadł. Trzeba było malców rozbroić i pogodzić, co przy uporze Wosia nie było łatwym. Lepiej był on się znalazł w młodszym wieku, gdy zaprowadzony przez ojca w Paryżu do Niemcewicza, gdy ten zapytał chłopca, co mu może darować z przedmiotów rozrzuconych na biurku, malec bez wahania odpowiedział: „*Prosiłbym o pióro Pana Niemcewicza, aby je na pamiątkę zachować.*” Babcia spotykała nieraz u Ks. Radziwiłłowej starą jej damę honorową, rodzaj historycznej w Prusach postaci, hrabinę Voss. Ta na urodziny Ks. Ludwiki wyhaftowała jej podnózek z napisem i życzeniem wymownym:

*À quatre-vingt-dix ans,  
Faites-en autant.*<sup>27</sup>

Szacunek i przyjaźń Babci dla Księżnej Namiestnikowej zwiększyły się wdzięcznością, gdy podczas choroby młodej Tekli zmarłej w roku 1828 w hotelu Wiedeńskim, codziennie z Namiestnictwa przysyłano rosółku dla umierającej, a strapionych rodziców Księżęca para najtkliwszymi dowodami spótczucia otaczać nie przestawała. Siedmnastoletnia panienka długo się pasowała z życiem. Gdy nareszcie skonała wyprowadzono matkę, aby zwłoki ubrać i na katafalku umieścić. Po niej jakim czasie Babcia chciała wrócić do żałobnego pokoju pożegnać martwe rysy córki, lecz gdy ją mąż przez próg przeprowadził, zemdląła z bólu.

Nie bardzo mogę tu śledzić życie Babci naszej w owych dalekich latach, będących dla nas poniekąd przedhistoryczną w znajomości jej życia epoką. Ale łącno nam sobie wystawić jaką musiała być dla swych dzieci mistrzynią, z jakim wdziękiem i rozumem udzielała im lekcji i przelewała w ich serca i umysły to, co sama umiała, to, co sama czuła. Pamięć jej niesłychana, do której nieraz nam wrócić przyjdzie, ułatwiała jej to zadanie miłości. Do końca zdumiewała nas gruntownością swej rozległej wiedzy. Językiem francuskim władała jak własnym. Po niemiecku też biegle czytała i mówiła. Na parę dni przed śmiercią z powodu ciągłych zmian temperatury, przytaczała mi jakiś wiersz Goethe'go. Starożytność zawsze ją nęciła, świat grecki i rzymski znała dokładnie. A obok tego, co za miły polot literacki, jak wytworne pióro, jak potoczysty styl i łatwość pisania. Nie tylko naukowe

<sup>26</sup> Tłumaczenie: „... młody...”

<sup>27</sup> Tłumaczenie: „Na dziewięćdziesiąte urodziny proszę zrobić tak samo.”

przedmioty dla dzieci obrabiała, ale nieraz całe powieści przerabiała dla ich wieku, zręcznie pomijając bardziej romansowe ustępy, aby tylko moralny uwydatnić kierunek.

Dwoiło się jej życie, mnożył czas skutkiem błędnego przyzwyczajenia do rannych godzin i rychłego wstawania. Dzień jej uprzedzał słońce, a jak powiada Pismo św. „Nie gasi i w nocy kaganiec jej.” Od piątej, od czwartej z rana nieraz zaczynało się jej czynne powszednie życie. A chociaż przez wszystkie dni swoje od młodości przestrzegała chwalebne zwyczaj rannego wstawania, wyznała nam raz, że nigdy jej to nie przychodziło łatwo i że z każdym dniem musiała gwałt sobie zadawać, aby miły przerywać spoczynek. Powyżej przytoczyłam słowa mędrca Pańskiego, ale czyż cały koniec księgi o niewieście męznej nie przystaje jak wraz do naszej Babuni:

*„Niewiastę męzną któż znajdzie?  
Daleko i od ostatecznych granic cena jej.  
Ufa w niej serce męża jej,  
a korzyści jej nie będzie potrzebował.  
Odda mu dobrym a nie złym,  
przez wszystkie dni żywota swojego.  
Przepasała mocą biodra swoje,  
i zmocniła ramiona swoje.  
Rękę swą ściągnęła do mocnych rzeczy,  
i robiła dowcipem rąk swoich.  
Znacznem jest mąż jej w radzie,  
Gdy usiądzie między starszymi.  
Moc i ochędość ubiór jej,  
usta swe otwiera mądrości,  
a zakon miłosierdzia na języku jej.  
Upatrywała ścieżki domu swego,  
a chleba próżnując nie jadła.”*

A i inne pochwały oddane męznej niewieście w stosunku do służby i czeladki, do ubogich i domowników, nie mniej stosują się do naszej drogiej Babuni. I ona „ręce swe otwierała niedostatecznemu i dawała korzyść domownikom, a pokarm służebnikom swoim.” Miłość jej czeladki opromieniła całe jej życie. Nie znała sług, miała tylko przyjaciół, znała tylko dzieci w rzędzie domowników. Czasem usługa i elegancja na tem szwankowały, ale za to ileż sierot zostało przygarniętych, wychowanych, przetartych na jakich takich służących. Do wszystkich wymagań życia przyłączyła się okazała czynienia dobrze, wyświadczenia miłosierdzia, i ćwiczenia własnej cierpliwości.

A cóż powiedzieć o stosunku z włościanami tej zacnej pary. Referendarz ojcem był dla swoich, pouczał włościan jak gospodarować, rozmawiał z nimi łaskawie, przykładał wszelkich starań, aby lud swój podnieść i oświecić. Głównym był promotorem oczynszowania włościan, a gdy zrazu chłopi nie chcieli się podpisać, przez nieufność do panów przez rząd Pruski systematycznie wszczepianą, tak się zmartwił, że powtarzał z rozpaczą: „Straciłem córkę ukochaną, dziecko najmilsze, a mniej cierpiałem niż dzisiaj co mi własny lud nie wierzy!” Powoli utarły się uprzedzenia, a skutki troskliwości dobrego pana do dziś dnia się znaczą dobrobytem, rozumem, wyższym stopniem oświaty i bogactwa ludu Oporowskiego. Referendarzowa pilnie w tem zadaniu dopomagała mężowi. W najlepszych z wsią zostawała stosunkach. Lubiła i rozumiała lud i nieraz o nim rzewne przytaczała rysy. Najchętniej przypominała i opowiadała jak raz w Rydzynie, piękną przyjęto mamkę, która się nie mogła nasłuchać i nadziwić, jak panna Teresa Kicka biegle i ślicznie czyta z każdej książki. Widząc ten zachwyt wieśniaczki, panna Kicka obiecuje, że ją tak samo czytać nauczy. Chwila była niemej radości i wdzięczności, ale niedługo: „Nie, proszę Jaśnie Pani, uczyć się nie będę. Wprowadzie mamci ja ochotę



*do książki, ale jak wrócę do domu, toby memu Jaśkowi było smutno, że ja więcej umiem od niego!”* Zawsze się Babcia unosiła nad delikatnością tego uczucia, a do końca życia zachowała miłość dla ludu i miłość u ludu. Pamiętamy wszyscy a jakim uszanowaniem rozstępowano się przed nią w kościele Oporowskim, gdy jeszcze na nabożeństwo niedzielne mogła uczęszczać. W ostatnich latach lud jej sercu miły raz tylko dorocznie ją oglądał, gdy w dzień uroczystej procesji Bożego Ciała orszak przeciągał po ogrodzie do czterech ołtarzy, a przy głównym, pięknie przystrojonym we drzwiach dworu, pod namiotkiem z dzikiego wina klęcząca kornie Babcia witała zbliżającego się do jej strzechy Pana Zastępów. Gdy po odbytem błogosławieństwie orszak dalej się posuwał, wszyscy starsi włościanie cisnęli się ku Babci, aby jej rękę ucałować serdecznie.

Nikt też do końca bardziej od Babci nie troskał się o chorych. Kilkukrotnie musiano ją zapewniać, że mieli doktora, pomoc, lepszy z pańskiej kuchni posiłek. W ostatniej chorobie, nie chciała tknąć rosołku, dopóki jej nie powiedziano, że chorej na folwarku staruszce zaniesiono połowę.

Przypatrując się tak Babuni naszej na wszystkich drogach życia kobiety, niepodobna pominąć jej znaczenia w rodzinie. Jak była kochaną, dowodem ciągłe skupianie się Łubieńskich i Morawskich około jej serca, nieustanne odwiedziny dwustronnego rodzeństwa. Jak była zgodną i łatwą w stosunkach rodzonych, czy przybranych, najlepiej wykazuje jej niezamącona przyjaźń z żonami braci swych i szwagrów, albo i ten szczegół, że działy rodzinne po śmierci p. Wojciecha, dopiero w dziesięć lat później zostały zrobione, bo w roku 1818<sup>ym</sup>, a p. Referendarz jeszcze czternaście lat potem administrował własnością swego brata Franciszka. Z braci swych rodzonych Babcia najwięcej kochała generała Tomasza i p. Henryka. Jednakość wykwińtości i wspólna im świetność rozumu, łączyła tę trójkę serdeczną, wiekiem także zbliżoną. Z generałem Tomaszem prowadziła też najściślejszą korespondencję. A znów z małżonek braci swoich żadna Babuni nie była milszą, ani droższą od pani Henrykowej, Ireny z Potockich. Portret jej stał zawsze na biurku Babuni, która się rozrzewniała na wspomnienie tej idealnej, przedwcześnie zgastej istoty. Miłość dla ukochanej bratowej, ścieśniała stosunek Babci z jej matką Konstancją z Potockich, Edwardową Raczyńską, i stąd częste stosunki między Oporowem a Rogalinem, tem bardziej, że dowcip i rozum pani Raczyńskiej był Babci nader sympatycznym.

Z rodziny męża najwięcej kochała tego, którego zwała panem Franciszkiem. Generał Morawski wysoko cenił i szanował bratową, a co więcej, rozumieli się oboje i spotykali na niejednym punkcie. I jemu i Babci poezja przypięła swe skrzydła, ona ją miała w duszy bardziej niż w słowie. W nim znalazła głos wypowiadający to, co tylko czuć umiała. Wiersze Generała były dla niej czarowną muzyką, jego dowcipy światelkami rozpędzającymi szarą powszedniość życia. Rozpromieniała się ilekroć jej było przytoczyć jaki wiersz, przypomnieć jaki koncept generała. Do tego wspólne zamiłowanie nowej literatury, ciekawość świeżych książek i publikacji, to też rozmowa nigdy nie upadła. A gdy później Generał osiadł na Lubońskim zagonie, stosunki sąsiedzkie były niemal codziennymi i z dziecinnych lat pomnę jeszcze siedzącego pana Franciszka w krześle obok biurka Babuni i toczącą się między niemi zwawą słów zamianę. Czasem też p. Franciszek z rękawa jaki wierszyk wysypał, raz nawet taki do bratowej wypalił rymowany wyraz czci swej i uwielbienia, iż ta w pokorze swej, piękny wiersz tak dobrze ukryła, że go odtąd ludzkie nie widziało oko. Czasem znów Babcia łamała się z trudnościami przełożenia na język francuski, której z celniejszych poezji generała, przyczem autor ich nie szczędził żartów. Wielka była przyjaźń i wielki szacunek między tą parą braterską, nie szczędzącą sobie dowodów wzajemnego przywiązania.

Dla młodszego w rodzeństwie stała, zmarłego przedwcześnie państwa Kajetanostwa Morawskich, Babunia chowała jakieś osobne, pełne rzewności wspomnienie. Dobroć niezrównana szwagra Kajetana, słodycz pełna wdzięku jego żony Julii, wzbudzały w pamięci Babci wzruszenie

serdeczne. Ile ich kochała najlepiej dowodzi miłość jaką przelała na osieroconych ich synów, na późniejszego zięcia swego Józefa i tego najmilszego jej sercu synowca Kajetana, ojca naszego, którego też przybrała za dziecko swoje, zwłaszcza gdy macierzyńską troskliwością w ciężkiej dziecięcej chorobie wydarła go chorobie i po raz drugi udarzyła życiem. Ale w powyższych stosunkach nie trudno jej było kochać wartą jej miłości rodzinę. Nie usunęła się jednak od obowiązku miłości siostrzanej wobec mniej godnego szwagra, Michała. Owszem, widzimy tu potęgującą się jej rzadką wyższość i zrozumienie pełni poświęcenia w niektórych życia warunkach. Czwarty brat Referendarza, pan Michał, nie wdał się w starsze rodzeństwo. Nie zły, nie głupi, pełen naturalnego dowcipu, lenistwem i lekkomyślnością stał się źródłem ustawicznych zgryzot dla swoich. Prababka nasza, wspominając zmartwienia jakich jej był powodem, powtarzała, że matki nigdy synów rodzić nie przestają. Nie chciał się za młodu uczyć, ani później pracować, trwonił życie i majątek. Nareszcie ciało tak wzięło górę nad duszą, że tylko materialna strona życia go zajmowała i z pięknego młodzieńca stał się ciężkim darmożjadem. Wkrótce zabrakło mu zdrowia i chleba. Powtarzające się ataki paraliżu zamieniały go powoli na kloc nieruchomy. Miłowała się Babcia jego niedolą i mimo nadmiaru własnych obowiązków, przytuliła do domu swego biednego p. Michała, zносиła cierpliwie jego wymagania lub potrzeby i do śmierci zatrzymała go pod opieką serca swego i dachu. Ten zaś w gruncie dobre mając serce, wdzięczne chował uszanowanie dla siostry dobrodziejki i pokornie łaskę jej przyjmował.

Jednym ze znamion usposobienia Babci było zawsze silne poczucie węzła rodzinnego i zmysł familijnej solidarności i jedności. Zespała w sobie również gorącą miłość dla łubieńskich i Morawskich. Sama czuła się tak dobrze zlaną z jedną i drugą rodziną. Pod koniec nawet życia, silniej może wrosła w przybraną i czuła się daleko bardziej Morawską niż łubieńską. Przemiana ta nastąpiła, gdy straciwszy męża, uczuła się na czele jego rodziny i przejęła jego zobowiązania i posłannictwo. Powtarzała, że ród to dobrych mężów i wzorowych stadet, a gdy raz chwalono przed nią bardzo drogą jej sercu wnuczkę, która oddała w części łubieńskim to, co nam oni w osobie Babuni ustąpili, kochana Babcia, dołączwszy i swoje wyrazy miłości, zakończyła w rodzaju uniesienia, przechodzącego miarę zwykłej jej pokory: „*En un mot, c'est une Morawska - et c'est tout dire!*”<sup>28</sup>

I tak przykuta do pług codziennego obowiązku, nie odchodziła od niego nigdy, nie wyjeżdżała z domu, nie odbiegała ogniska swego, chyba aby Ojca w Guzowie odwiedzić. Żadnej podróży, ani dla przyjemności, ani dla poratowania nawet własnego zdrowia nie przedsięwzięła nigdy. Wyprawy do Guzowa bywały bardzo uciążliwe, po złych drogach z drobną dziatwą, trudnościami paszportu i granicy. Ale wszystko się opłaciło widokiem sędziwego Ojca i zebranej przy nim rodziny. Na ostatnim takim zjeździe w Guzowie, poprzedzającym śmierć pana Ministra, a więc na Święty Felix 1847 roku, umyślono zebrać podpisy obecnych, których okazało się być czterdzieści pięć. Podpisy te odlitografowano na pamiątkę. Są tam i nazwiska obojga Referendarzostwa. Dalej położono spis idącego od pana Ministra potomstwa, dzieci jego, wnuków i prawnuków z mężami i żonami tychże. Spis ten dał poczet stu siedmiu osób żyjących, a trzydziestu siedmiu zmarłych, ogółem 144 stanowiących rodzinę w prostej linii żyjącego jeszcze natenczas Patryarchy.

Wyprzedzam raz po raz bieg czasu w luźnym opowiadaniu Mojem. Teraz znów data historyczna zatrzyma mnie na chwilę. Nadszedł rok 1830<sup>ty</sup>. Najstarszy i jedyny syn pierworodny Referendarzostwa Wojciech, na pierwszą wiadomość o nocy Listopadowej, chciał biedz do Warszawy i w bratnie zaciągnąć się szeregi. Referendarz pragnął go zatrzymać, dopóki przynajmniej matka nie przebędzie spodziewanej słabości, a w rzeczy samej może chciał rozpatrzyć się w naturze ruchu,

---

<sup>28</sup> Tłumaczenie: „*Jednym słowem, jest to Morawska - to mówi samo za siebie!*”

któremu ludzie innej epoki nie dowierzali. Jedynak ukląkł przed matką: *„Możecie mi zabronić iść, posłucham rodziców woli, ale przez całe życie może żałować będziecie, żeście mi nie dali korzystać z pierwszej sposobności walczenia za ojczyznę.”* Nie było co mówić, przeżegnano i pożegnano syna, który ruszył do Warszawy. W sąsiedztwie znalazł się inny, stateczniejszy już i cierpliwszy zapaleniec młody. Był nim Ludwik Mycielski, najmilszy sercu Referendarzostwa sąsiad. Oni go wyswatali, z ręki i rady Babci przyjął był i poślubił zasnę swą małżonkę, Elżbietę z Mielżyńskich. Był to człowiek rzadkiego serca i zdolności, pełen ognia i jakiejś uroczej rycerskości. I on chciał pędzić na pierwsze hasło do boju, lecz wprzód odczekał rozwiązania żony, która mu powiła piąte dziecko, a potem jak mówił, nie chciał wyjechać z troską na sercu o najlepszą przyjaciółkę i doczekał się jeszcze podobnego w Luboni wypadku. Gdy zaś Babcia także szczęśliwie urodziła córkę Maryę, cały dzień spędziwszy w Luboni, uspokoiony minionem niebezpieczeństwem, odjechał do Warszawy. Zaraz w pierwszej bitwie pod Grochowem, dwaj nierównego wieku sąsiedzi, Mycielski i Morawski, wyprzedzali się w bohaterstwie. Pan Bernard Potocki opowiadał, jak przejeżdżając na polu walki, zawołał, że mu głód dokucza. A na to Wosio, bo tak go wszyscy koledzy nazywali, spokojnie wśród gradu kul zsiada z konia i spod siodła dobywa czekoladki dla towarzysza broni, którego w tak gorącym miejscu odszedł apetyt. W najstraszniejszym warze batalii, widząc pod Władysławem Zamoyskim zabitego konia, młody Wojciech własnego mu podaje, mówiąc: *„Tyś potrzebniejszy Ojczyźnie. Beze mnie może się ona obyć!”* Takim zawsze pełnym wyrzeczenia miał być przez całe życie. I znów w tej samej Grochowskiej bitwie, nagle samopas bieży jego konik bułany. *„Alboż Woś zginął?”* - pytają serdecznie. Nie on zginął, ale obok niego, kartacz dosłownie rozszarpał Ludwika Mycielskiego idącego naprzód z sztandarem krwią jego ochrzczonym. Na widok zabitego sąsiada i przyjaciela domu, Wojciech Morawski zeskakuje z konia, aby sięgnąć po złotą w kieszeni monetę, owinąć w świstek papieru i postać do Warszawy na ręce pani Janowej Łubieńskiej z temi słowy: *„Ludwik Mycielski zginął, proszę o Mszę Św. za duszę jego.”* Czyż to nie rys charakterystyczny późniejszego księdza Wojciecha?

Tymczasem wiadomość żałobna nadeszła szybko do Wielkopolski. Pani Mycielska z Kobyłopola, która pięciu synów dała wtedy Ojczyźnie, z których trzech zginąć miało na polach walki, przybyła do Ponieca, ale stanęła w karczmie w miasteczku. Było to w pierwszych dniach marca, zbudzono o 4<sup>tej</sup> z rana Referendarzostwo, listem od niej, zaklinającym, aby jej pomogli straszną prawdę synowej wyjawić, bo sama nie może się na to odważyć. Pojechali oboje i zabrawszy p. Mycielską, udali się na Widawy, niby po rannej Mszy św. Próbowali przybliżyć nieszczęśliwą wdowę do rzeczywistości. Daremnie, zawsze ją odsuwała. Gdy jej nareszcie powiedziano, że mąż zginął, zaczęła wołać, krzyczeć, biegać, mówiąc, że nie uwierzy, dopóki zwłok jego nie ujrzy. A tu ich nie było, zostały na polach Grochowa. Dopiero po godzinach męki prawdziwej, podano jej najmłodsze dziecko, późniejszą Siostrę Miłosierdzia, Elizę. Wtedy dopiero zapłakała, dała się położyć i tak kojąc ją reszta dnia tego przeszła boleśnie, między osieroconą matką i wdową. Nie dziw, że z takim wspomnieniem, Babcia osobnem uczuciem wyróżniała zawsze Mycielskich z Ponieca i w wnukach kochała jeszcze tego rycerskiego Ludwika, którego pamięć zawsze jej pozostała drogą.

Nie będziemy tu iść za postępem tej wojny, obfitej w piękne karty, zwłaszcza w kole naszych znajomych. Poświęcenie kochanego Wosia, tak było znane, że cieszyły się żony i matki, gdy służba wojskowa zbliżała do niego drogie im osoby. Między innymi znajdujemy tego dowód w listach Klaudyi Potockiej do pani Edwardowej Raczyńskiej, gdzie uspokajając ją o syna Bernarda dodaje, iż tenże pełni służbę adiutanta przy jenerale Łubieńskim wraz z Wosiem Morawskim, co mamę ucieszyło. Niebawem krzyż odwagi wojskowej zabłysnął na piersiach młodego żołnierza, krzyż później niesiony za trumną kapłana, który zarówno był mężnym w boju Pańskim, jak w walce za niepodległość kraju. Można łatwo się domyślić, co się działo w sercach Referendarzostwa w czasie tego okresu, który tyle

drogich im istot wywiódł na pole walki. Drżeli o tych ukochanych, o syna jedynaka, o generała Tomasza i tyle krewnych lub znajomych, a najbardziej o skutkach wojny dla Ojczyzny. Generał Morawski został ministrem wojny, ku powszechnej radości i zaufaniu. Wtedy to fabryka broni z Marymontu ofiarowała mu piękny pałasz z napisem: „Za sprawą dzielnego męża nie zabrakło nam oręża.”

Cichy dworek Luboński żył tylko wiadomościami z teatru wojny, a te dochodziły coraz smutniejsze i zawodniejsze. Właśnie na owe chwile tak ciężkie ostatecznej klęski, przypadły odwiedziny Adama Mickiewicza, który na wieść o rewolucji przybył z Włoch, ale gdy stanął na ziemi Wielkopolskiej, sprawa szła już coraz gorzej. On zaś od początku miał być przeciwnym idei zbrojnego w tym czasie powstania. Stąd choć wybierał się do kraju, chciał się zaciągnąć w bratnie szeregi. Czynił to bez zapału i przekonania, aż tu minęła sposobna chwila i nie przekroczył już granicy. Przywiozła go do Oporowa pani Konstancja z Bojanowskich Łubieńska, krewna i pupilka Referendarza, która natenczas gorąco się była zajęła Mickiewiczem, a nawet gdy odjechał do Drezna, opuszczając dom i męża za nim pospieszyła. Była to piękna karta w życiu Mickiewicza. Dowiedziawszy się bowiem o tem szaleństwie, zamknął się w domu, nie chciał widzieć pani Łubieńskiej, czem ją zniewolił do powrotu do męża i obowiązków. Babcia zachwycała się jego szlachetnością, urokiem, łatwością w obejściu. Ten sławny już wówczas wieszcz literacki, bawił się z jej dziećmi, chodził na grzyby, na spacer z niemi, cieszył się wiejskimi przygodami, gdy jadąc hurmem do Drzewiec, złamali pojazd i pieszo wypadało zakończyć wycieczkę. Postaci był on nikłej, ale uderzającej, zwłaszcza blaskiem oczu pełnych zapału. Wzrok ten płomienny raz tylko oprócz u Mickiewicza Babcia w życiu napotkała, u doktora Marcinkowskiego. Mickiewicz olśniewał mężczyzn jasnością sądu i wyższością zdania, kobiety zaś czarował uczuciowością i tem, co Niemcy nazywają Schwärzneri. Zawsze wydawał się być zakochany w każdej młodej osobie do której mówił tak, iż Babunia drżała o spokój córek, bo wszystkie bałamucił w czasie kilkudniowego pobytu. Wtedy to nadeszła wiadomość o wzięciu Warszawy. Smutne rozmowy toczyły się w cichym domku Lubońskim, ale i te zgłuchły pod wrażeniem klęski. Gdy raz tak milczenie zaległo w gwarnym zwykle towarzystwie, jedna z pań napisała ołówkiem na kartce pytanie, którego może nikt sobie głośno zadać nie śmiał: *„Co teraz w twem sercu zastąpi miejsce nadziei?”* Pan Adam podjął rzuconą kartkę i bez wahania odpisał: *„Cóż czyni rolnik, gdy grad łan jego zbije? Znowu sieje!”* Autograf ten chowano z czcią w rodzinie, a gdy po kilku latach Generał Morawski powrócił z dalekiego w Wołogdzie wygnania, pokazano mu odpowiedź Mickiewicza, a on z niej wysnuł najpiękniejszy wiersz swój p.t. „Nadzieja”, zaczynający się od pięknej zwrotki:

*„Zbił grad na łanie całą żniw nadzieję,  
Nie ma i kłosa na wieniec żniwiarzy.  
Cóż czyni rolnik? - na nowo ją sieje,  
I znów lepszą przyszłość marzy.  
O! nie broń, nie broń urojeń mych pola  
Ziarnem nadziei obsiewać;  
Wzrosła ku Niebu już Polski niedola,  
Pozwól się, pozwól spodziewać.”*

Babunia dała była wtedy Polsce swego Izaaka. Pan Bóg jej go wrócił, ale za ocalonego syna, żądał ofiary córki. Rosła wtedy jak lilia najstarsza z żyjących córek Babcia, Zofia, o twarzy pełnej wdzięku i przepysznych oczach, utrwalonych pędzlem jednej z księżniczek Sułkowskich. Wtem ten śliczny kwiat zaczął więdnąć. Umyślono spróbować lekarzy Warszawskich. Rozrywki, zmiany

powietrza, nic nie pomagało. Wrażenia i wzruszenia przebyte w roku rewolucyjnej, strawiły tę ognistą naturę, pełną serca i zapału. Rozwinęły się suchoty. Wiadomości o niebezpieczeństwie dochodziły do Oporowa, biedna matka ruszyć się nie mogła, przykuta do kolebki gasnącego młodszego dziecięcia. W Kwietniu 1832 roku Pan Bóg podwójnej od niej zażądał ofiary. Zamknąwszy oczy najmilszej sześćioletniej Anci, Babunia wyruszyła do Warszawy pod opieką syna. Ale nadto świeże były jeszcze wspomnienia wojny, nadto zastrzone jeszcze stosunki graniczne. Nie wpuszczono do Królestwa młodzieńca i matka musiała dalej samotnie swą krzyżową odbywać drogę. Stała w Warszawie 27. Kwietnia, w pięć godzin po śmierci, ukochanej Ziutki, która nie doczekała się macierzyńskiego błogosławieństwa.

Raz po raz idąc za Babcią po tej przedłużonej pielgrzymki jej drodze, spotykamy się z stacyami jej męki, dotykamy ręką ciernie o które rozrywało się jej serce, widzimy ślady łez i krwi jakimi znaczyła dalsze swe postępy w życiu. Nigdy się nie skarżyła, nie wracała nawet ku przebyłym nieszczęściom, nie targowała się z Bogiem. Spełniając radę Ojca Antoniewicza, cicho zawsze umiała cierpieć, a głośno do końca dziękować. A zresztą Bóg mierzy siły stworzeń swoich i przeplata doświadczenia pociechami. I oto za dwie utracone córki miał jej niebawem przybyć syn przybrany, a wybrany i dobrany jak żaden inny do takiej matki.

Wprzód jednak, trzeba nam jeszcze zapisać tu nową zmianę w jej życiu. Po osmastoletnim pobycie w Luboni, przyszło teraz przenieść się do Oporowa na resztę życia, które w tym miejscu opromienionem pamięcią Babci, miało jeszcze przez lat pięćdziesiąt płynąć. Teściowa, p. Zofia Morawska, umarła była w roku 1824<sup>ty</sup>. Teraz można się było spodziewać niedalekiego powrotu jenerała, który z wygnania tęsknił za całą rodziną i spoczynkiem na własnym zagonie.

Domek Oporowski, acz skromny, więcej jednak mógł pomieścić osób od Lubońskiego, tam też znajdował się środek ciężkości gospodarstwa i interesów. Wszystkie te względy przemogły i Referendarzostwo w roku 1832<sup>im</sup> przenieśli się na stałe na mieszkanie do Oporowa.

Chociaż każdy z nas nosi w sercu i pamięci, obok czczonego wizerunku Babci, obraz najmilszego Oporowa, wypada mi tu w kilku słowach przedstawić ramy w które się odtąd życie jej oprawia. A przychodzi mi to tem łatwiej, że miejscowość ta nie zmieniła się niemal przez pół wieku okresu czasu. Skromność i oszczędność były znamieniem zgodnego usposobienia Referendarzostwa: *Être sans paraître*<sup>29</sup>, było ich godłem. Oboje brzydzili się zbytkiem, nie znali próżności, szanowali przeszłość, i stąd ta cecha została na miejscu ich pobytu. Wszystko się wokoło nich dźwigało i rosło, gospodarstwo wzorowym odznaczało się porządkiem, lud się podnosił, świat moralny się rozszerzał, ale domek, ogródek, zachowały skromne swe rozmiary. Któremuż z wnuków serce nie biło zawsze radośnie, gdy dojeżdżając do celu, poza otwartą bramą, ujrzał nareszcie bielejący dworek Oporowski. Uczucie to tak się z nami zrosło, że tak jak dziećmi cieszyliśmy się szalenie na widok miłej oczom i sercu miejscowości, i w późniejszym wieku nigdy się tu obojętnem nie stawało sercem. Miejscowość sama głównie polską cechą nęcąca. Wieś to swoja, wieś polska w całym znaczeniu. Ten dworzec naszej Babki, pozory bardzo skromne, dom bez piętra, o wysokim dachu, w którym nie mało mieści się pokojów. Z przodu trawniki i stawy, studnia z Samarytanką, więź rozłożysty, ukochane Babci drzewo. Z tyłu markiza z winogrodu i nie duży ogród staroświecki - pomieszanie wirydarza, sadu, ogrodu angielskiego i kwiatowego. Dwa szpalery po obu stronach, na przeciw markizy przepyszny jesion płaczący i kwiaty i owoce najprostsze, rodzinne. Z kwiatów głównie róże i astry. Z owoców opadających na zieloną murawę wyszły z mody dziś gatunki, wiśniówki, muszkatułki, bursztówki. Na prawo od domu podwórze folwarczne, na lewo kościół rzadkiej piękności jak na wiejską świątynię.

---

<sup>29</sup> Tłumaczenie: „...Żyć bez ostentacji ...”

Kościół ten w ostatnich latach świetnie odnowionym został, stanęło obok murowane probostwo. W biegu lat i całe zabudowanie gospodarskie się odnowiło, jeden tylko dworek został takim, jak był niegdyś. Zachował swą niską strzechę i pokorne rozmiary, i oto ta chata znaczeniem przerosła wszystkie pałace sterczące dumnie na okolicznej płaszczynie, a co więcej, w skromności swej, przetrwała losy sąsiednich gmachów, w które po kolei ruina zaglądała przez liczne drzwi i okna, a nie wcisnęła się do Oporowskiego domku.

Wewnątrz jednak prostota, wiecznie ten sam rozkład i sprzęty. Z wyjątkiem, że po śmierci Referendarza jego pokój zamieniono na kaplicę, wszystko tam od lat pięćdziesięciu prawie niezmiennym zostało. Jeden z gości Oporowskich powtarzał, iż urokiem tego domu, to właśnie brak zmian i wszelkich nowości. Myśl, że ten kałamarz od kilkudziesięciu lat na jednym stoi miejscu, ten fotel wrósł niemal w podłogę, a na tej kanapce, od niemniej dawna codziennie zasiada Pani Referendarzowa. Myśmy głównie znali ten dom przybytkiem pięknej sędziwości, ale miał on swe chwile młodego wdzięku i życia, gdy z kolei wyrastały panienki, których tak liczne grono otaczało Babunię. Po stracie dwóch najstarszych, młodsze pocieszały teraz rodziców rozkwitem wiosennych wdzięków, a wśród nich rzadką pięknnością i anielskimi przymiotami duszy jaśniała Henryetta, pierwsze dziecko Babuni urodzone w Luboni. Nieraz ucząc nas, jak dla wszystkich należy być uczynnym i uprzejmym, wspominała Babunia z własnego doświadczenia, iż się na grzeczności nigdy nie traci. Kiedyś, bawiąc jeszcze w Dreźnie, Referendarz polecił żonie, aby osobną dobrocią i grzecznością wyróżniła spotkaną tamże panią z Rogalińskich Maciejową Chłapowską, jako sąsiadkę Oporowa i Luboni. Uległa życzeniom męża, Babunia zajęła się nieznaną, a bezwiednie ujęła ją sobie na całe życie. Osiadłszy jednak w Oporowie, nie wznowiła przelotnego stosunku. Przyjaźń bardziej ją zawsze nęciła ku Turwi, gdzie Jenerałostwo Chłapowscy tak ciche, a czynne pędzili życie. Tożsamość zasad i celów zbliżały ku sobie oba domy Oporowa i Turwi. Jenerał wysoko cenił Referendarza. Nieraz konno w nader rannych godzinach zajeżdżał do przyjaciela i miał sposobność przypatrzenia się chrześcijańskiemu wychowaniu jego dzieci. Pewnego dnia nie przyjechał sam, lecz przywiózł z sobą krewnego swego, p. Stanisława Chłapowskiego, zamieszkałego wówczas w Jurkowie, późniejszego właściciela Czerwonejwsi.

Kreśląc po raz pierwszy w tych kartkach imię tego ukochanego zięcia Babci, żywe wspomnienie jego braterskiej dobroci dla moich rodziców, stosunków Jurkowa z dawną Czerwonąwsią oraz pamięć wszystkiego, co sama zawdzięczam temu drogiemu Wujowi, żywo i rzewnie wstaje przed oczyma memi. Widząc go takim, jakim znaliśmy go i kochali, pełnym ognia i zapału, i młodości, wrażliwym i czułym na wszystko co dobre, co piękne, co szlachetne, ujmującym żywością serca i wyobraźni, wszechstronnością rozumu i odczytania. Nie można było widzieć miłszego, bardziej zajmującego człowieka, pomijając już stronę jego wartości wewnętrznej i zasług. Dla Babci, od której mało co był młodszym, stał się niebawem przyjacielem, doradcą, podporą, a prócz tego, jakże lubiła jego rozmowę, w ilu przedmiotach ściśta łączyła ich sympatya. Od Babci, od samegoż p. Stanisława słyszałam nieraz opis owego pierwszego przybycia do Oporowa. Właściciel Jurkowa nie był już pierwszej młodości, dobrze mu się na czwarty krzyż liczyło. Wiódł życie ustronne po wojnie 1831 roku, w której jako adjutant Jenerała Chłapowskiego odznaczył się męstwem. Czytał i pracował wiele, a na wytchnienie jeździł do Turwi. *Czemu się nie żenisz?* – pytali Jenerałostwo krewnego. *Bo nie ma na świecie drugiej Jenerałowej* – odpowiadał pół seryo, pół żartem, przejęty żywą czcią dla p. Antoniny Chłapowskiej. Ta mu jęła coraz częściej mówić o Oporowie, o cnotach rodziców, o wdziękach córek. Stańto na tem, że go Jenerał zawiezie i zostawi, sam pod pozorem jakiegoś interesu jadąc dalej. Babunia tak nie domyślała się niczego, że zaraz na wstępie zaczęła się oburzać, że jakiś nie młody już rzemieślnik chce się żenić z jej służącą. „*Comment voulez-vous que je donne*

*cette jeunesse à un vieux moustache?*<sup>30</sup> Nie było to zachęcającem dla tysego już wówczas p. Stanisława. Został jednakże dzień cały, a gdy wieczorem panienki skromnie ubrane obstały fortepian i zaczęły nucić piosenki patryotyczne owej epoki: „Siałam proso na zagonie”, „Pomoc dajcie mi rodacy”, i.t.p., kochany Wujaszek, jak nam to sam później staroświeckim opowiadał stylem, uczył jak mu serce przeszły strzały Kupidyna i w bardzo krótkim czasie otrzymał rękę szesnastoletniej panny Henryetty.

Ślub odbył się w Oporowie, na dniu 15go Lipca 1833 roku, i odtąd dom państwa Chłapowskich stał się pod każdym względem drugim Oporowem. Nie tu miejsce opisywać życie tego chrześcijańskiego stadła, ale trudno nie przypomnieć ich śmierci w trzydzieści lat później, gdy tak ściśle złączonych tu na ziemi P. Bóg razem prawie odwołał. Najprzód p. Stanisława śmiercią nagłą, ale nie niespodziewaną, bo czując się słabym, przygotował się na nią, jak dobry żołnierz, a potem po kilku zaledwie tygodniach tęsknoty wdowiej i cierpienia świątobliwą jego małżonkę, której śmierć nosiła te same cechy błogosławione późniejszego o lat dwadzieścia zgonu jej matki. Tak samo wówczas córka z zupełną świadomością żegnała ziemię, patrząc spokojnem okiem w wieczność. Z poddawanych sobie aktów pobożnych, charakterystycznie wciąż jednego się chwytając i powtarzając: „*Mam nadzieję! Mam nadzieję!*” Kto żyje w miłości, umiera w nadziei, oto nauka płynąca z życia i śmierci tych, którzy nas wyprzedzili.

Słusznie powiedzieć można, że wydanie za mąż córki Henryetty, a potem sąsiedztwo Czerwonejwsi, zaliczyć wypada do rzędu najstarszych i największych pociech życia Babci. Widok owoców jej posiewu, rozrostu cnót, które w dziecko swe wszczepiła, dobrego jakie się szerzyło z ich domu, ślicznego grona dzieci, wszystko to napełniało ją słodkością. Charakterem, Ciocia Henryetta, wiele przypominała matkę, zwłaszcza zupełnem zapomnieniem o sobie, zaparciem się woli i ciągłą gotowością do poświęcenia. Podobnie nigdy nie szukała własnej rozrywki ani dogodności, umiała zastosować się do starszego już męża, zamknęła się w sferze surowych obowiązków. Ukształcenie takiej duszy i podobnego charakteru, było zaiste jednym z arcydzieł ręki Babuni.

Niebawem i druga córka opuściła dom rodzicielski. 26<sup>go</sup> Grudnia 1835 roku odbył się w Guzowie u p. Ministra, który rad swoim wnukom wesela wyprawiał, ślub Eugenii Morawskiej z Józefem Morawskim z Kotowiecka. Aczkolwiek bliski stopień pokrewieństwa zrazu utrudniał postanowienie rodziców i długo się wahali z zezwoleniem, nie mniej gorąco kochali i tego drugiego zięcia, o którym Babcia zwykła była mówić, że w nim rzymskie upatruje hart i cnoty.

I w Kotowiecku i w Czerwonejwsi, liczne grono wnuków jęło powiększać rodzinne Oporowskie kółko. A tymczasem syn jedynak, zamiast się kontentować dojrzałością bohaterstwa, kształcił się pilnie i wrócił był po wojnie do nauki, uczęszczając na uniwersytet Berliński, wówczas tak sławnych posiadający mistrzów. Folgując dziedzicznej skłonności do filozoficznych badań, Wojciech Morawski nigdy nie stracił gruntu ściśle chrześcijańskiego, i stąd nie małe oddał usługi ziomkom, strzegąc ich od zwątpienia i niewiary, gorącością własnych przekonań. Apostołem był on w świecie długo zanim oblekł suknię kapłańską. Z Berlina dyskusje filozoficzne przenosiły się nieraz do Oporowa. Koledzy Wosia kruszyli kopie za Heglem lub Kantem, Schellingiem lub Schopenhauerem. Zapalone to były szermierki, czasem z filozofii przerzucano się w politykę, aby znów wracać w dziedzinę myśli, w analizy des reine Ich, i inne ówczesne formułki niemieckiej filozofii. Jenerał Morawski zbywał walczących konceptem, bajeczką wyśmiał Heglistów. Referendarz słuchał i milczał, czasem trafnem słowem uśmierzył zapaleńców, mówiąc np., że filozofii chrześcijańskiej o to chodzi, aby myśl podnosić coraz wyżej, coraz szerzej, a Niemcom o to tylko, aby ona sięgała coraz głębiej, coraz ciemniej. Babcia

---

<sup>30</sup> Tłumaczenie: „*Jakże mam oddać taką młodą dziewczynę jakiemuś staremu wqsaczowi?*”

z tych czasów wyniosła zamiłowanie męskich dyskusji i nic ją bardziej nie ożywiało, jak gdy wnukowie przy niej o jaką kwestię zasadniczą gwałtownie wiodli spory. Oczy jej świeciły się jak gwiazdki, przerzucając się ku mówiącym z najwyższym wyrazem interesu, a jakkolwiek powstawała wrzawa, nic nie zmniejszało wyraźnej jej rozkoszy.

A gdy tak pod cichą strzechą Oporowską filozofowano, kochano się, dyskutowano na przemian, Referendarstwo nie ustawało w pracy, w czynności ustawicznej. On zwłaszcza, choć filozof i poeta nawet tak wybornie się rządził, że gospodarstwo wzorowe coraz się podnosiło, a majątek wzrastał z dniem każdym. Umiejętna hodowla owiec, wyborne uprawianie roli, głównie na ten pomyślny stan dochodów wpływał. Było jeszcze nieco kłopotu z włościanami. Lud hardy, raz po raz dawał się obalamuwać poduszczeniom rządu, który był rad niezgodzie wsi z dworem. Niewiadomo jednak co wpłynęło na klęski, jakie miały dotknąć Oporów. Czy jaka osobista zemsta, czy też ogólna ku panom niechęć. Dość, że rok 1836<sup>ty</sup> miał błysnąć ogniem pożogi w tym ustronnym zakątku. Najprzód 1<sup>80</sup> Sierpnia spaliła się stodoła ze sprzętem na folwarku Grabówiec, a 28<sup>80</sup> tegoż miesiąca, w chwili, gdy cała rodzina do wspólnej zasiadała wieczerzy, nagła w okna uderzyła łuna, dał się słyszeć krzyk przeraźliwy, zaczęli wszyscy wybiegli przed dom, aby ujrzeć z czterech stron podwórza buchające płomienie. Referendarz padł na kolana w piasku i wyjęknął tylko: „*Praca lat tylu!*” Później rzucił się do ratowania dobytku. Nie było jednak sposobu ocalenia. Ciasny kwadrat zabudowań gospodarskich płonął już cały, wiatr niósł zarzewie na Kościół. Zachowanie świętego przybytku skupiło usiłowania wszystkich, zwłaszcza samego pana. Ale nazajutrz, ale dni następnych, wielkie zwątpienie ogarnęło Referendarza. Myśl, że ludzka ręka, ludzka zemsta była nieszczęścia przyczyną, srodze go nękała. Zakazał wszelako poszukiwać sprawcę klęski, nie dozwolił nawet na domysły w tym względzie i pono dopiero po latach wielu winowajca przywołał go do łoża na którym umierał, aby wyznać grzech swój i prosić o przebaczenie. Widząc męża tak znękanego, przyszłość dzieci zachwiana tak niezmierną stratą, Babcia uległa serdecznym namowom brata swego Henryka, zapraszającego ją wraz z całą rodziną do majątku swego Częstocice w Sandomierskiem. Zmiana miejsca i ogromne pole działania dźwignąć miały Referendarza. Zostawiono Oporów pod zarządem syna, który się zajął odbudowaniem spalonych gumien i stajni, a tymczasem całą drużyną osiadła na czas dłuższy w okolicach Ostrowca. Po dziś dzień znać tam organizacyjną i cywilizacyjną rękę Referendarza. Jadąc okolicą fabryczną, bogatą lecz dziką, nagle uderza piękny las, obsadzone drogi i podwórka. Klimkiewiczów (główny zakład fabryczny) otoczony drzewami, coś na kształt Wielkopolskich osad. To ślad pobytu pp. Morawskich w Częstocicach. A ślady moralne ich wpływu, a skutki ich przesiedlenia chwilowego któż zmierzy? My zaś najwięcej zawdzięczamy owemu przesiedleniu Oporowskiego gniazda w Sandomierskie, bo spotkanie się pierwsze naszych rodziców pod macierzyńskim skrzydłem Babuni.

Po niejakiem czasie wygnańcy powrócili na własny zagon, aby go już więcej nie opuścić. I na te właśnie lata, od powrotu z Częstocic do śmierci Referendarza w 1853 roku, przypada najświetniejsza epoka domu Oporowskiego. Każdy bowiem dom, jak każde życie, miewać zwykły swój punkt kulminacyjny. Chwila ta nastąpiła wówczas dla Oporowa i trwała około lat piętnastu. Wszystko się na to składało, aby spotęgować życie domowe i rodzinne. Referendarstwo doszli i przeszli ową połowę życia, *il mezzo del cammin*<sup>31</sup>, aby na drugą schodząc onego już stronę, osiąść wieku powagę, znaczenie doświadczenia, a nie zaznać jeszcze zgrzybiałości. W domu rojno i gwarno, panienek hoźnych i pięknych, a wesołych i dowcipnych cały zastęp. Za synem posiadającym w rzadkim stopniu

<sup>31</sup> Tłumaczenie: „... połowę drogi...”. Jest to nawiązanie do pierwszego wersetu „Boskiej komedii” Dantego („*Nel mezzo del cammin di nostra vita*”).



mir i przyjaźń ludzką, ciągnęła młodzież z całego kraju. Sąsiedztwo nasiadłe i przyjemne, a domów i stadeł rodzinnych coraz to przybywało. Lubonia, Czerwonawieś, Kotowiecko, a teraz i młody Jurków, wszystko to stanowiło odłamy Oporowa, gotowe zawsze wracać do metropolii i stolicy rodzinnej. Zjeżdżano się też na każde święta, czy uroczystości, zgromadzano na imieniny, urodziny, rocznice. Z dni stałe w Oporowie święconych prym trzymały zawsze dzień 4<sup>go</sup> Stycznia - urodzin Babuni, 13<sup>go</sup> Lutego - jej imienin, 16<sup>go</sup> Marca - urodzin Dziadzi, 19 Marca - jego imienin, a potem 9<sup>go</sup> Grudnia - rocznica ich ślubu. Zobaczmy jak mniej więcej w owych latach p. Stanisław Koźmian opisywał Oporów i jego okolice: „Oporów leży w płaskiej, nieuroczej, ale żyznej i ludnej okolicy. Pełno tu domów zamożnych i miłego sąsiedztwa. O długim dniu majowym lub czerwcowym można było z łatwością dziesięć domów objechać i w każdym godzinę zabawić. Z noclegu w Goli u Gustawa Potworowskiego jadąc na nocleg do Sułkowskich w Rydzynie, można było wstąpić do Józefa Łubieńskiego w Pudliszkach, Józefa Mycielskiego w Rokossowie. Marcellego Zóttowskiego w Drzewcach, Referendarzostwa Morawskich w Oporowie, Wojciecha Morawskiego w Oporówku, Jenerała w Luboni, Stanisława Mycielskiego w Poniecu, Leona Mielżyńskiego w Pawłowicach. Z tych Rydzyna, Rokossowo i Pawłowice były najwystawniejszemi, ale Oporów i Lubonia najprzyjemniejszemi domami. Mały i niepoczesny domek w Oporowie był najczęściej punktem zebrania całej rodziny. Gdzie się to i jak mieściło, wytłomaczy chyba właściwość polskich domów rozszerzania się do nieskończoności. Zastawałeś więc ciasne i niskie pokoje zawsze pełnemi córek, zięciów, wnucząt, krewnych i sąsiadów. Ale w nich jak wymiółt, jeżeli w pobliskim kościółku było nabożeństwo. Towarzystwo zwykle grupowało się koło Referendarza albo jego żony. Nierzadko znalazłeś w nim przybyszów z najrozmaitszych i najdalszych dzielnic Polski. Wiadomo jak liczną jest rodzina Łubieńskich. Pod koniec życia, pan Minister liczył niemal sto osób wprost od siebie pochodzących, a do każdej przynajmniej raz w rok pisywał. Ta to pochopność do korespondencji, która całą tę rodzinę odznacza sprawiała, żeś w Oporowie zawsze zastawał najświeższe i najobfitsze wiadomości ze wszystkich stron świata. Stąd też wstępna pogadanka przechodziła natychmiast w poważną rozmowę to o polityce, to o literaturze, w której starsi i młodszy równie gorący udział brali. Kogokolwiek z nich zapytasz w jakim bądź przedmiocie, wszystko wie, wszystko umie. W każdej rzeczy ma dowcipne lub mądre zdanie, a przecież słucha Cię uprzejmie, bada, pragnie się nauczyć i najmniejszą zasługę podnosi lub wychwala. Nadzwyczajną zdolność i ruchliwość umysłu swych dzieci umiała roztropna matka, lubo sama pełna także żywości umysłowej i imaginacji, ująć w karby niezłomnych zasad i pokierować ku poważnym, a pożytecznym i bezpiecznym naukom. Ona sama jedna wszystkie wychowała i wyuczyła. Zmuszana często całe dni przepędzać w łóżku z powodu puchliny w nogach, obracała godziny wolne od lekcji na pisanie wykładów dla małych dzieci. Niektóre, jak historię, potoczny układła wierszem. Kajety te, przepisywane w mnogich egzemplarzach, dotąd służą w wielu rodzinach Wielkopolskich do pierwszych nauk dzieciom. Połączona ścisłą przyjaźnią z Jenerałową Chłapowską i z Księżną Antoniną Sułkowską, stanowiła z nimi jakby areopag, do którego zewsząd młode matki udawały się po radę i naukę. O pobożności i religijnych uczuciach tej przezacnej Pani nie potrzebuję mówić. Chwała Bogu, wzory ich nie są rzadkie w Wielkopolsce, ale można śmiało powiedzieć, że i w naszej prowincyi trudno było znaleźć tyle cnót pociągających niezrównaną pokorą i słodyczą. Rozszerzyłem się nad tem kółkiem Oporowskim dlatego, że tu Jenerał prawie codziennie bywał, tu czerpał wiele wiadomości, a może i natchnienie, tu nieraz znajdował zbawienne karty dla swego dowcipu i ku poważniejszym myślom kierunek. Lubonia leży tylko o kwadrans drogi od Oporowa. Droga jak na strzał prościutka, zawsze doskonale utrzymana, wysadzana topolami i tylko w jednym miejscu przecięta wjazdem do Oporówka, sama już pokazuje, że łączy domy albo dwóch braci, albo dwóch serdecznych sąsiadów....”

Życie umysłowe zawsze tu w wysokim rozwinięciu stopniu, nowymi zapłonęło blaski. Wojciech Morawski założył w Lesznie szacowne pismo pod tytułem „Przyjaciel Ludu”, które przeważnie jego bliscy zasilali. Najpiękniejsza młodzież z całego kraju chętną rękę do wspólnego przykładu dała dzieła, a Jenerał Morawski był wyrocznią tej całej szkoły ludzi, pełnych zapału do rzeczy ojczystych i pięknych. Z owego zastępu gromadzącego się w Oporowie, godzi się wspomnieć oprócz najbliższych sercu i nazwiskiem, Augusta Cieszkowskiego, Rogiera Raczyńskiego, Ryszarda Berwińskiego, Przeździeckich, Mycielskich, Szoldrskich, z Łubieńskich: Leona, Włodzimierza, Konstantego, Juliana, Edwarda i wielu innych. Prócz gości z rodziny i sąsiedztwa, prócz młodzieży znęconej pięknnością panien, powabem i powagą domu, emigracja dostarczała tu osobnego a znaczącego kontyngentu mężów znakomitych umysłem i sercem. Wygnańcy wyższej miary nie przynosili tu zarazy spisków lub bezbożności zachodniej, ale najczystsze ziarna gorącego ducha wiary i miłosierdzia. Z nich wymieńmy rodzinę Kasztelana Platę, która się oparła o Oporów, wracając z długiej tułaczki na biedę ojczystą, dalej Łuszczewskich, Witwickiego i wiele, wiele innych dusz zacnych. Ognisko Oporowskie coraz znaczniejsze przybierało rozmiary. Z daleka i z bliska przybywano tu, aby złożyć hołd gospodarstwu, zetknąć się z znajomymi, zabawić się i pokrzepić na przemian. Jak się te liczne zjazdy mieściły w tym maleńkim domku, dla nas pozostaje zagadką. Ale mieszczono się i każdemu było dobrze, a nawet przestronno, bo gdzie duszy szeroko, tam i ciało o ciasnocie zapomina. Nieraz tak całkiem niespodzianie gość po gościu zajeżdżali. Przenoszą jednych, skupiają drugich, byle jeszcze kącik znaleźć. Goszczący tu często i serdecznie do rodziny przywiązany p. Rogier Raczyński pewnego dnia żartobliwie się odzywał: „*Co za wyjątkową noc dziś miałem! Tylko mnie siedm razy przenosili!*” Innym razem pełno zjechało się młodzieży, kilkunastu obozowało w jednym pokoju, ale im się to wydało jeszcze za mało. Ruszają więc konceptem, porywają z łóżkiem śpiącego p. Michała i stawiają pośród siebie. Nazajutrz o rychłej jak zwykle godzinie nadjeżdża Jenerał Chłapowski, wchodzi i na ten widok woła na zbudzonego pana Michała: „*Człowieku! Czyś zwariował, aby tak na starość z swawolnikami się bratać!*”

Referendarzostwo lubili wesołą otaczać się atmosferą, nieraz i potańcowano w Oporowskim salonie, a i muzyka i malarstwo znajdowało tu miejsce i talenta gotowe. A i życie to spotęgowane to spotęgowane sercem i rozumem jądra i kierowniczką całego ruchu, osi całego domu schodziło się i skupiało w około Babci, która przez całe życie całe zdawała się mieć osobne postąnnictwo *de faire centre*<sup>32</sup>, ześrodkowywać i zużytkowywać umiejętnie władze, siły, talenta, które się do niej przybliżały. Ona to głównie stworzyła dom Oporowski, ona rozszerzyła jego zakres i wpływy, ona też nie przestała do końca być magnesem przyciągającym wszystkich w te gościnne progi.

Oprócz wdzięku jej rozmowy i uroku całego otoczenia, dwie rzeczy składały się jeszcze na przyciąganie tu licznych gości, dwa przymioty Babunieczki naszej nęciły zawsze ku niej. Raz jej wielka, a wykwinna uprzejmość. Nie przestawała być wielką panią, nie abdykowała z rozumu, a musiała zarówno bawić prostaczków i uczonych, dzieci i mężów dojrzałych, duchownych i szlachtę zaściankową, ludzi z najwyższego świata i gości niższego rzędu. Tak zręcznie kierowała rozmową, tak ślicznie słuchała, że każdego umiała naprowadzić na odpowiednie tory, każdemu powiedziała coś przyjemnego, wypytywała się o najbliższe obchodzące go rzeczy, przeniosła się na jego punkt widzenia, dostroiła do jego poziomu z pełnym łaskawości wyrozumieniem. A z drugiej strony, jaśniała w niej w całej pełni staropolska gościnność, nie darmo cnotą u przodków naszych zwana. Nie tylko dom, ale i serce i objęcia na oścież otwierała. Gdy gość zajeżdżał, a drogi i bliski, nie rzadko Babcia, acz już dziewięćdziesięciolatka, wybiegała cała rozpromieniona do sieni, później przy pożegnaniu każdego aż

---

<sup>32</sup> Tłumaczenie: „... aby stanowić centrum ...”

przed dom wyprowadzała. Z wiekiem ta serdeczna gościnność jeszcze się rozwijała. Nic ją nie cieszyło więcej, jak gdy po dawnemu jej stół licznie obsiedli goście. Sama jedząc bardzo mało, pilnie uważała co komu podać lub dodać, komu usłużyć lub przysunąć talerz czy półmisek. Baczyła na dogodzenie każdemu, kłopotą się gdy kto nie miał apetytu. Najgorsza bywała sprawa, gdy się na stół pojawiła jaka nowalija, owoc nadzwyczajny, szparąg większych rozmiarów. Babcia nigdy nie chciała zjeść sama lepszego takiego kęsa. Rozpoczął się certowanie, ustępowanie, jeden drugiemu odrzucał mniemane łakocie, aż wreszcie dochodząc do Pana Michała, sprawa przez niego bywała na własną korzyść rozstrzygnięta.

Ta gościnność uprzejma dopiero z ostatnią życia iskierką wygasła. Na kilka dni przed śmiercią, znając usposobienie Babci mówi Jej, że obiad wyborny i że wszyscy smacznie zajadają, a ona mi na to z najwyższą radością: „*Jakże ci dziękuję za tak dobrą wiadomość!*” I wtedy jeszcze, gdy godziny jej były policzone, rada wiedziała jakim porządkiem zebrana rodzina w około stołu zasiadła, co było na obiedzie i wieczerzy, czy apetyt służył gościom. „*Może was to dziwi - mawiała - że się takimi drobiazgami interesuję w progach wieczności, ale cóż chcecie? Ja już do końca taką zostanę.*” Ta piękna gościnność była podstawą życia jakie wówczas zapanowało w Oporowie. Zawitał tam raz Wincenty Pol i pod wrażeniem elastycznie ciasnego domku w którym tyle się osób naraz mieściło, do „Pieśni o ziemi naszej” dodał ów ustęp wdzięczny, w którym chciał odzwierciedlić dwór Oporowski:

*„Wielkie domy za granicą  
A w nich ciasno - choć nie ludno.  
U nas mury się nie świecą  
A o kącik nie tak trudno.  
Ledwo człek by czasem wierzył:  
Dom niewielki - wtem gość wchodzi,  
Ot i domek się rozszerzył,  
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.  
Przybył drugi i dziesiąty,  
I nie ciasno już nikomu.  
Wyprzątnięto wszystkie kąty,  
Coraz szerzej w małym domu.  
I zda się, że pan domu sobie  
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,  
A on tylko w domu tobie  
Drzwi i serce swe otworzył.*

*I ta strzecha choć uboga,  
Chociaż niska, przecież bliska,  
Dla obcego i dla swego  
I od Boga aż do wroga  
Jest tu miejsce dla każdego...”*

Trudno o lepszą charakterystykę tego domeczku, gdzie my wnuki po kolei we wszystkich spoczywaliśmy kątach i kącikach, tak iż nie było pokoju w Oporowie, nie było nawet kanapki, na której byśmy się kiedy nie przespalili. A tej elastyczności ścian i miejsca mieliśmy raz jeszcze

doświadczyć, gdy ostatnia Babci choroba tak odnowiła liczne niegdyś zebrania Oporowskie. I znów miejsce dla każdego się znalazło.

Oczywiście nie jednemu tylko Polowi dom Oporowski nastroczał udatne rymy. Babunia pisała ich sama wiele. Berwiński odzywał się najlepszymi natchnieniami nie zawsze strojnej lutni, a pan Franciszek nieraz z rękawa kilkanaście wysypał wierszy, niby na zabawkę przy grach pisanych, będących ulubioną Babuni rozrywką. Pewnego dnia, gdy tak szaradę po szaradzie i zagadkę po zagadce Jenerał podawał siostrzenicom, znalazła się jedna o Oporowie:

*„Pierwsze jak wieczność, nie ma początku ni końca,  
Drugie, płynie w krainie piękniejszego słońca,  
Trzecie, wieśniak wyrabia w pocie swego czoła,  
A wszystko jest wzorem rodzinnego koła.”*

Łatwo wystawić sobie można jak dalsza przyszłość ukochanego syna musiała zajmować serce matki. Wojciech Morawski miał już lat trzydzieści dwa, a mimo, że był wszędzie upragnionym zięciem, choć niejedną pannę w tym celu do Oporowa przywożono, nie żenił się i nie zakładał nowego ogniska. Wody Grafenberskie, gdzie sława dr. Prissnitza fanatycznych gromadziła wówczas wielbicieli jego systematu leczniczego, miały stanowić z kolei o losie dwojga dzieci Oporowskich. Dla Wojciecha Morawskiego miejsce to było punktem zetknięcia z wielu zacnymi duszami, z którymi odtąd ścisłą zawarł przyjaźń. Ks. Fietzels, Ks. Antoniewicz, Księżę Jerzy Lubomirski, oto główni przyjaciele z którymi tam się poznał i złączył. Tam także spotkał przeznaczenie swe w osobie panny Maryi Grocholskiej. Córka najzaciejszych rodziców, gubernatora Kamienieckiego, p. Mikołaja Grocholskiego i żony jego z Chołoniewskich, wychowana męską ręką Ks. Stanisława Chołoniewskiego. Panna Grocholska, majątkiem, położeniem i rozumem była niezawodnie jedną z pierwszych partyi w kraju. Dotąd nikt nie pozyskał względów, nie zdobył serca jedynaczki, choć zewsząd ubiegano się o jej rękę. Bawiąca w Grafenbergu panna Aniela Czacka, pytała ją raz o tę ogólną obojętność, wymieniając z kolei znajomych młodzieńców. Żaden nie zyskał słowa życzliwego. „A Wojciech Morawski?” „Nie znam go dosyć, ale czuję, że ochotnie zostałabym jego żoną.” Panna Czacka powtórzyła zasłyszane słowa, a p. Wojciech wziął je na wagę i rozum, mówiąc, że się podobnych nie lekceważy wyznań. Niebawem nastąpiły zaręczyny, i ślub naznaczono na dzień 15<sup>go</sup> Października 1848 roku.

Referendarz wybrał się na Podole, a tymczasem cała rodzina umyśliła Babci zrobić niespodziankę, aby nie uczuła osamotnienia i oddalenia w dniu tak uroczystym dla jej syna. Kilkadziesiąt osób zjechało do Oporowa, a i Referendarz się znalazł, cofnięty od granicy zakazem rządowym, nie pozwalającym go wpuszczać do Rosyi. Nowożeńcy wkrótce przybyli do Oporowa i nawet dłuższy czas tam zamieszkali, aby potem na przemian w Oporówku i Strzyżawce przebywać.

W tych świetnych latach Oporowskiego życia, nie brakło zapewne i krzyżów, ale się łatwiej one znosiły w społeczności tylu serc przywiązanych. Nagłe obłąkanie jednej z córek, stanowiło jedną z najcięższych prób życia Babci, niezagojoną raną, której dotknąć nie było podobna. Tragiczny zgon p. Edwarda Raczyńskiego obił się też boleśnie o te mury i serca, a Referendarz odczuł trojako tę stratę, jako przyjaciel, jako Polak, a najwięcej jako chrześcijanin. Domowe szczęście łagodziło też ból z powodu klęsk publicznych, ale nie zdołało ująć troski patryotycznej w owych strasznych latach 1846 i 1848. Kto wie azali utrapienia tej epoki nie skróciły zgryzotami jakie każdemu prawemu Polakowi przyniosła, policzonych już dni Referendarza? Zaczął on coraz bardziej zapadać na zdrowiu. Wypadło szukać pomocy lekarskiej to w Karlsbadzie, to w Grafenbergu. W roku 1848, gdy zdawało się, że rząd pruski spróbuje i w Wielkopolsce wywoływać straszne mordy Galicyjskie, cała rodzina przeniosiła się

na jakiś czas do Wrocławia. Referendarz zastąpiony już w służbie publicznej przez syna i synowców, żywo brał do serca ówczesne wypadki, posmutniał i zestarzał się nagle. Im go bardziej widziały zniechęcanym szerszymi sprawy, tem mu żona i córki więcej pragnęły zaoszczędzić powszednich kłopotów. Wyręczano go czynnie i pilnie, nawet w gospodarstwie i interesach, przysłaniano mu nie jedną troskę. I tak, gdy pod jego nieobecność wybuchła w Oporowie gwałtowna cholera, Babcia nie pozwoliła mężowi donieść o zarazie i sama jedna z córką Różą wytrwała na zagrożonym posterunku. Pamiętać trzeba, czem bywały pierwsze pojawienia się cholery na Zachodzie, jak złowrogi miała charakter ogólnego pomoru. W Oporowie ludzie padali jak muchy. Proboszcz miejscowy nie zdolny już całą parafię obsłużyć, dawał ogólne jak przed bitwą rozgrzeszenie. Służba dworska wymarła w części. Babcia wspominała, jak jej przyszło iść z dzbankiem po wodę do studni, bo nie było kim się posłużyć. Zabrakło desek na trumny, zażądano takowych z Czerwonejwsi, a widok nadesłanego materiału pogrzebowego nagle spotęgował ustającą już zarazę. W końcu i Babcia i córka jej zapadły na zdrowi. Jaką wzbudzała miłość, niech dowiedzie i ten szczegół, że mimo grozy jaką przejmowała cholera, dzieci jej przywiązane z Czerwonejwsi i Jurkowa nie przestały wśród zarazy jej nawiedzać i w końcu do wyjazdu zniewoliły. Pamiętką dni owych zostały nie tylko wielkie mogiły na wiejskim cmentarzu, ale i zbudowana z zapisu jednego z majątniejszych włościan, piękna grobowa kaplica.

Chwilowe zachmurzenia widnokregu Oporowskiego, prywatną czy publiczną klęską, nie przerywały jednak stanowczo biegu owych dni pięknych a niepowrotnych, do których Babcia tęskną myślą nieraz wracała. Takie okresy domowego szczęścia i życia nigdy długo trwać nie zwykły. Wybiła i dla Oporowa godzina rozproszenia, zaćmił się dzień pogodny i wiosenny, furknęły ptaszyny z gniazdeczka rodzinnego. Parę lat wystarczyło, aby z całej gromadki nie zostawić przy rodzicach jak jedną już tylko ich starości podporę, która jeszcze przez lat trzydzieści miała pełnić przy matce swą miłosną posługę. Najprzód wybiegła z pod skrzydeł macierzyńskich najmłodsza, Benjaminka poczęta i urodzona w goryczy obaw i wzruszeń roku rewolucyj, Marya. Dojrzało było to dziecko, niedostępna towarzyska Matki, która wciąż ją uczyła, kształciła i trzymała przy sobie. Ci, którzy w owych latach pamiętają Babcie, jak zwykle siedzącą przy swoim biurku, wspominają zapracowaną tuż obok przy małym stoliku dziewczynkę, którą nic nie odrywało od księzek swych i zeszytów, chyba jeden głos Matki, kierującej jej pracą. W siedemnastym roku życia Pan ku służbie swej powołał to dziecko. Powołanie jej nosiło wszelkie znamiona nadprzyrodzonej łaski. Nie było w niem cienia egzaltacji, owszem zwalczając jej wypadało wstręt do niemieckiego żywiołu, który ją miał otoczyć w nowicyacie Urszulanek Wrocławskich. Rodzice nie targowali się z Bogiem, gdy im dzieci zabierał, nie targowali się również, gdy je do służby swej wołał. Benjaminka Oporowska odbiegła dom swój, opuściła rodzinę, ale danem jej było z kolei pięć domów Bożej rodziny otwierać na polskiej ziemi, w Poznaniu, Gnieźnie, Krakowie, Tarnowie i Czerniowcach. Przyjęła imię Maryi Bernardy, pod którym znają ją niezliczone zastępy uczennic wychowanych po Chrześcijańsku pod jej kierunkiem. Sędziwa przełożona klasztoru Wrocławskiego oceniając wysoko i ofiarę Matki i przybywającą jej współpracowniczkę, zachowała do końca żywą wobec Babci wdzięczność. Pisywała do niej corocznie i nie nazywała inaczej jak „kochaną Mateczką”, a miano to oznaczało Babcie we wszystkich późniejszych fundacjach Matki Bernardy.

Niebawem i druga córka poszła za wezwaniem Bożem. Ta wiedzona głównie miłością bliźniego, zaciągnęła się w szeregi Sióstr Miłosierdzia. Z wszystkich dzieci Oporowskich, Seweryna miała może najdzielniejszy charakter i najgorętsze serce. Te dwie siły, oddane na usługi nędz ludzkich potrafiły dokonać cudów miłości i poświęcenia. Zakładała, dźwigała coraz to nowe ogniska miłosierdzia. Dom Sgo Józefa (dzisiejszy Szpitalik dziecięcy) w Poznaniu, szpitale i szkoły w Pelplinie, Kościeszynie, Kościanie. Powołana dwukrotnie na plac boju przeżyła kampanią Austriacką w roku 1866tym, Francuską w 1870tym. Dwie wojny nie wyczerpnęły jej sił, duchowa walka miała tego

dokonać. Czem była w ciągu trwania Kulturkampfu dla Kościana i okolicy ciężko religijnym prześladowaniem nawiedzonej, nie tu miejsce opowiadać. Wystarczy wspomnieć, że tego rodzaju serca, gdy je wypełni miłość bliźniego, a zapali miłość Boża, stawają się potęgą starcząca za całe wojska i zastępy zbrojne.

Gdy tak dwie dziewice niebieski zabierał Oblubieniec, niezwykle przeznaczenie wywodziło z cichego Oporowa ukochaną p. Referendarza córką aż w zamorską krainę. Ten sam Grafenberg, gdzie przed kilkoma laty Wojciech Morawski poznał swą małżonkę, miał teraz nową skojarzyć parę. Gdy w roku 1849 udał się tam Referendarz z córkami, liczniejszy jak kiedykolwiek zastali zjazd gości kąpielowych. Nie sami Polacy tym razem dostarczyli fanatyków systematu Prissnitz. I cudzoziemców nie brakło, a w ich liczbie znalazł się Anglik, potomek jednego z najdawniejszych rodów starej Anglosaxońskiej a stale Katolickiej szlachty, Karol de la Borre de Bodenham. Rzadkich przymiotów młodzieniec, wspaniałej postawy i urody, a zacny, szlachetny i wykwinny jak rzadko. Od razu zajął się panną Ireną Morawską. Jeśli gdzie przeznaczenie stanowczem odezwało się głosem, to w tej sprawie. Młody Anglik mieszkał naprzeciw domu, gdzie wysiadł był Referendarz. Ujrzał przechodzącą na schodach pannę Irenę i od tej chwili:

*„..... co kochać przymusza,  
Poszło i serce, a za sercem dusza.”*

Jak się tam bardzo szybko i poetycznie jął ów „romans kleić”, jak następnej jesieni pojawił się młody Anglik w Oporowie, ujął sobie całą rodzinę, zdobył serce panny, nie przypomnę tutaj. Dość, że poznając w cudzoziemcu wielkie przymioty, Referendarzostwo zezwolili na tak niezwykły dla polskiej córki związek, i ślub został naznaczony na dzień 23 Kwietnia 1850 roku.

Liczny zjazd uświetnił ową uroczystość. Cały Oporów przybrał cechy świąteczne. W kościele Biskup Tadeusz Łubieński związał stułą dorodną nowożeńców parę. Pan Bodenham od razu całym sercem przyłągnął do przybranej rodziny i w tych rzewnych uczuciach dotrwał przez całe życie. Corocznie sam przywoził lub też przysyłał żonę do Oporowa, wszystko dzielił z jej rodziną, złe czy dobre. Przejął i zobowiązania względem Ojczyzny, gdzie mógł popierał sprawę Polski, pośredniczył w interesach Kościoła polskiego, tak iż go Pius IX zwał zawsze z uśmiechem: *l'ambasciatore polacco*<sup>33</sup>. Dla Babci miał on uwielbienie bez granic. Na kolanach ją witał, na kolanach też żegnał, wystawiał się na wszystkie niedogodności polskiego życia na wsi, polskiego klimatu, byle się nacieszyć ukochaną Matką swej Ireny, i zadość uczynić synowskiej powinności. A jakby utrwaleniem owego serdecznego stosunku, gdy Babcia oczy zamknęła z ostatnią ciągłą troską o zdrowie kochanego zięcia danem mu było najpierw za nią pospieszyć i w wieczności być powitany przez tę, którą w życiu tyle czcił, szanował i kochał.

Z wydaniem za mąż panny Ireny, zamyka się piękna i świetna karta historii Oporowa, a pomroczniejsze dni następują. Będzie w nich jeszcze niejedna godzina słoneczna, znajdzie się ciepłych i jasnych promieni pod dostatkiem, lecz będą to już blaski zachodu, słońce zimowe, pogody jesiennej przelotne uśmiechy. Babunia żywo odczuła to opustoszenie jej ogniska, osierocenie domu dotychczas tak gwarne i rojne. Rzewna ogarnęła ją tęsknota, dotykałniej uczyła konieczność zupełnego wyrzeczenia się siebie w macierzyńskim zawodzie. „*Nie dla siebie Matka dzieci chowa!*” – powtarzała smętnie, oglądając się po uciszonym domu, gdzie nie brzmiały już miłe sercu jej głosy. Po osamotnionym ogrodzie, gdzie białe sukienki córek nie migają jej się jak dawniej pośród zieleni. Pod wpływem owej tęsknoty, napisała jeden z najudatniejszych i najgłębiej odczuty wierszy jakie się znajdują w jej obfitej poetycznej spuściźnie:

---

<sup>33</sup> Tłumaczenie: [...] *polski ambasador*.

„Gdzież jesteście, dzieci moje?  
Wszak mi Bóg was dał szesnaście,  
A teraz z mężem oboje,  
Z tych co było kilkanaście,  
Jedno już tylko widzimy.  
Czy nam oczy ociemniały?  
Czy się w pamięci mylimy?  
Gdzie nam się dzieci podziały?

Jestże to sen, czy w istocie,  
Że ja miałam dzieci tyle,  
Że na ćwiczenie ich w cnocie,  
Poświęciłam wszystkie chwile?

A teraz pusto i głucho –  
Gdzież te śpiewy i te śmiechy?  
Już ich nie słyszy me ucho,  
I w sercu nie ma pociechy.  
Matko! Uderz w ziemię czołem,  
Głos twych jęków ich doleci,  
Pod tym tu starym kościołem,  
Stoi sześć trumien twych dzieci.<sup>34</sup>

Siódma w rodziny twej grobie,  
Z Matką, Ojcem twym złączona,  
Zapewne odpowie Tobie,  
Że nie jest osierocona.<sup>35</sup>

Ósma, ostatnia to była,  
Ta najdalej, choć najmniejsza,  
Jej to samotna mogiła,  
Dla serca najboleśniej.<sup>36</sup>

Lecz tam tylko ciało gości,  
Dusza w niebo uleciała,  
Bo to dziecię twej starości,  
Aniołków zgraja zabrała.

Ty wołasz: gdzie więcej jeszcze,  
Tych dziątek danych od Boga?  
Niechaj się niemi napieszczę,

---

<sup>34</sup> Tekla, Felix, Oktawia, Józef, Anna, Jan.

<sup>35</sup> Zofia, pochowana w Wiskitkach.

<sup>36</sup> Ludwika, pochowana w Szewnie pod Częstochocicami.

Zanim nastąpi śmierć sroga.

Troje z nich już dzieci mają,<sup>37</sup>  
Życie ich jest wypełnione -  
Im twe starania oddają,  
Tym twe trudy zapłacone.

Proś tylko Boga za nimi,  
On wie lepiej co im trzeba –  
By nie szukali na Ziemi,  
Tylko co wiedzie do nieba.

Bo wszystkie ziemskie dostatki,  
Są tylko łudzące mary.  
A pierwszym staraniem Matki,  
Zaszczepić prawidła wiary.

Lecz czwarta serce twe tłoczy,  
I to jest boleść prawdziwa.  
Choć jej nie widzą twe oczy,  
Lecz wiesz, że nie jest szczęśliwa.

Życie jej darmo uchodzi, bez walki i bez zasługi.  
Za cóż jej Pan Bóg nagrodzi,  
Choćby i żyła czas długi?<sup>38</sup>

Ale za to dwie dziewice,  
Lepszą część sobie obrały.  
Zastoną okryły lice,  
Aby świata nie widziały.

Rozkosz się jego wyrzekły,  
I wszystkich jego próżności.  
Przed złym przykładem uciekły,  
By żyć w Bogu, w niewinności.<sup>39</sup>

Ale ich modły się wznoszą,  
Do Pana pełnego chwały.  
O szczęście dla drugich proszą,  
Którego same nie chciały.

---

<sup>37</sup> Wojciech, Eugenia, Henryetta.

<sup>38</sup> Paulina.

<sup>39</sup> Seweryna, Marya.



I tak z zamorskiej krainy,  
Przybył raz pewien młodzieniec.  
Skromny, pobożny, jedyny,  
Z polskim sercem cudzoziemiec.

Co mógł zniewolić dziewczynę,  
By kraj dla niego rzuciła.  
Ojca, matkę i rodzinę,  
I wszystko mu poświęciła.

On tylko jej serca żądał,  
Na posag się nie oglądał.  
W tem było boskie zrządzenie,  
I dziecka twego zbawienie.<sup>40</sup>

I ta, co poszła za morze,  
I te, które mężów mają -  
I te, co żyją w klasztorze,  
Wspólnego Ojca wzywają.

Nie troszcz się, On im zaradzi,  
On lepszy niż wszystkie matki -  
I do nieba doprowadzi,  
Rozrzucone Twoje dziatki.

A ta, co przy was została,  
Podpora waszej starości.<sup>41</sup>  
Będzie zapłatę swą miała,  
Ufaj tylko w Opatrzności!"

Wśród tego uciszenia zachodu ich życia, Referendarzostwo zawsze bardzo pobożni, zwrócili się z podwójną gorliwością ku praktykom życia chrześcijańskiego. Za ich powodem w całej Wielkopolsce nastąpiła epoka wielkiego rozgrzania religijnego, wywołana pracą apostołską Ojców Jezuitów. Pierwszym wstępem owych dzielnych misjonarzy na ziemię Wielkopolską był właśnie Oporów. Stosunek zawarty w Grafenbergu z Ojcem Antoniewiczem, nie miał się już zerwać. Owszem, stał się od razu węzłem nierozzerwalnym między zakonem Jezuickim, a rodziną Morawskich. Nie wolno było zakonnikom przebywać w Księstwie, ale mimo zakazu policyjnego, kilku z nich przybyło do Oporowa i Oporówka, pracować około dobra dusz i ustronnie torować drogę swym następcom i braciom. Najpierw cichutko osiedli tu O. Kłossowski i brat Gerard. Niedługo atoli danem im było służyć Bogu i ludziom na Nowem posterunku, obydwaj bowiem umarli i odpoczęli na wiejskim Oporowskim cmentarzu. Boże sprawy zwykle na mogiłach się gruntują i z grobów najprędzej się rozrastają. Za ledwie tych dwóch przesłańców zakonu odeszło prosić Boga o sposobność do nowych

---

<sup>40</sup> Irena.

<sup>41</sup> Róża.

trudów dla swych braci, zastąpił ich w Oporowie Ojciec Stefan Załęski, sędziwy już Białoruski Jezuita, uosobienie anielskiej dobroci, poświęcenia, rozumnego taktu. Krótco między nami gościł, ale pamięć jego związana z całym okresem boleści rodzinnych, w których on stale z domu do domu przejeżdżał, gdziekolwiek Anioł śmierci zagościł, gdziekolwiek krzyż z serc i ziemi wyrastał. Niebawem i w Oporowie miał podjąć owo posłannictwo kojące, ale wprzód jeszcze missce przez Ojca Antoniewicza kierowane, całe poruszyły Księstwo. Referendarz niemało się przyczynił do zarządzenia takiej missy w Krobi i radował się z jej błogich skutków. A jakby mu nie dość było jednych ćwiczeń pobożnych, następnie brał gorący udział w missy Krzywińskiej, której głównym promotorem był jego zięć Stanisław Chłapowski. Dwa też krzyże Missyjne zatknięto z tej okazji, jeden w Krzywiniu, drugi w Czerwonejwi, dokąd processya uroczysta udała się na konkluzją dziewięciodniowej missy. Pan Stanisław Koźmian opisał pięknym wierszem ową uroczystą i podniosłą chwilę, gdy pod amboną ustawioną na cmentarzu. W piękny majowy wieczór, uszykowały się cztery stany pod osobnymi znakami, a głos Ojca Antoniewicza na przemian kruszył i dźwigał. Ojcowie rodzin, zastępcy gospodarza niebieskiego, pod niebieskim stanęli sztandarem, przechodzącym z ręki w rękę takich ludzi, takich Ojców, jak p. Referendarz, jak p. Stanisław Chłapowski, jak p. Kajetan Morawski. A znów sztandar czerwony powiał nad głowami matek, których kaznodzieja nazywał męczennicami miłości, a któż temu tytułowi odmówić mógł prawdy, gdy sędziwa już Babunia nasza oparła się na drzewcu misyjnej chorągwi, którą zaiste nikt godniej piastować nie miał prawa. Ojciec Antoniewicz znajdował w Oporowie odpowiedni jego własnemu serdecznemu usposobieniu nastrój. Chętnie tam powracał, chętnie też zostawiał na czas dłuższy swego współpracownika, Ojca Załęskiego. I po zgonie wielkiego Apostoła Galicji i Księstwa, zakonna jego rodzina nie przestawała ustępować Ojca Załęskiego w sposobnych chwilach cichemu jak klasztor domowi Oporowskiemu. A gdy choroba p. Referendarza w następującym po missyach Wielkopolskich roku przybrała groźne rozmiary, dobry ten przyjaciel duszy jego, nie odchodził od łoża umierającego patryarchy. Kochająca rodzina, o trzydzieści lat odstępu jednak żegnała odchodzących od niej Ojca i Matkę, Dziadunia i Babkę. Tak samo jak świeżo teraz, widzieliśmy klikutygodniowy zjazd rodzinny w Oporowie, na wieść, że Babunia nas opuszcza, wyprzedzanie się przy jej łożku, miłość serdeczna i czynna która potoczne nawet rysy i drobiazgi życia podnosiła i opromieniała swem ciepłem. Podobnie i trzydzieści lat temu, gdy p. Referendarz umierał, a gasnął powoli na gorączkę wewnętrzną, zbiegli się bliźni i dalsi krewni, córki i zięciowie, synowa i wnuków zastęp młody, aby go otoczyć troskliwą posługą i rzewną wdzięcznością. Obozowano tak po wszystkich zakątkach domu Oporowskiego przez dwa, czy trzy tygodnie. To koniec zdawał się bliski, to znów się opóźniał i zwlekał. Babunia, która po spełnionym fakcie zwykła była mężnie krzyż swój brać na ramiona, skłonność miała do zaślepienia się i łudzenia się nadzieją. W tym przypadku, ani w cierpieniach gasnącego małżonka, ani w oczach sflakanych otoczenia, nie potrafiła wyczytać zbliżającego się już swego osierocenia wyroku. Sam Referendarz uczuł potrzebę przygotowania jej na rozłączenie. Jak zwykle słodki i delikatny, nie chciał ostrą zapowiedzią śmierci ranić jej serca. Ograniczył się na wskazaniu jej ręką umieszczonego nad łożkiem Ukrzyżowanego Zbawiciela: „*On ci będzie Pocieszycielem.*” Słowa te tak oświeciły Babcię o groźnym nieszczęściu. Pochyliła głowę i dziękowała Bogu za tego towarzysza i kierownika jej życia. Zrobiła ofiarę z siebie, przyjmując wolę Najwyższego. Ale odtąd nie opuszczała już prawie pokoju chorego, choć sił jej brakło, a starczyć miały na przedłużające się dni próby. Nareszcie pewnej nocy Ojciec Załęski obszedł dom cały, budząc uśpionych, zwołując wszystkich wiadomością, że koniec się zbliża. Cała rodzina pokłękła, zapalono gromnicę, rozpoczęto ostatnie modlitwy. Pasowanie z śmiercią zdawało się przeciągać, gdy wtem ozwały się dzwony bliskiego kościoła, pobrmiewając na Anioł Pański. Referendarz z osobnem nabożeństwem przestrzegał trzy razy dziennie owej modlitwy. Ilekroć usłyszał dzwony, natychmiast

przerywał rozmowę w salonie, stawał wśród zajęć gospodarskich na podwórzu, aby zmówić w skupieniu wielkiemu Anioł Pański. Lubił też dźwięki owych Oporowskich dzwonów i wsłuchiwał się w nie z zachwyceniem. I oto na głos znajomy, jakby na Anielskie wezwanie rozwiązały się pęta doczesne i dusza sprawiedliwego uleciała ku niebieskiej ojczyźnie. Było to o godzinie 7<sup>mej</sup> z rana, 8<sup>go</sup> Października 1853 roku.

Pogrzeb odbył się pięknie i poważnie w pogodny dzień jesienny, przy ogromnym udziale bliższych i dalszych przyjaciół i krewnych. Wnuków zwłaszcza tak spore zjechało się grono, że mimo woli ta cała dzieciarnia się rozhuła i wieczorem cichaczem urządzili sobie w ogrodzie bardzo ożywione *jeu de barres*<sup>42</sup>. Taka stąd urosła niebawem wrzawa, że aż ktoś starszy musiał przeszkodzić okrzykom weselości dziecinnej dochodzącym do uszu Babci, która jednak nie miała za złe nikomu. Owszem, cieszyła się widokiem młodego pokolenia tak licznie obsiadającego osobny stolik w pokoju Dziadunia w czasie pogrzebowego obiadu.

I tak po czterdziestu trzech latach małżeńskiego pożycia, przyszło Babci wdowi rozpocząć okres swej pielgrzymki, aby o całe lat trzydzieści przeżyć małżonka i zastąpić go osieroconej rodzinie. A że właściwie znamy ją i pamiętamy najlepiej z tej epoki, pragnęłabym jak najdokładniejszy tu zamieścić jej wizerunek, taki jaki nam w duszy i w sercu pozostał.

Poeci sławią wiosnę życia i wiosnę roku. Ale czyż jesień nie ma swej osobnej, poważnej, a pogodnej krasy i poezji? Czy starość dana od Boga nie jest koroną pięknego życia? Pismo Święte, które podnosząc myśli człowieka ku niebu, wskazywać mu nie przestaje, że nie tu jego ojczyzna, w życiu jednak upatruje największy dar doczesny uczyniony człowiekowi, a w przedłużeniu onego nagrodę tych co chowają zakon. „Wieniec godności sędziwość, która się znajduje w drogach sprawiedliwości” - powiada Mędrzec Pański. A w przypowieściach Salomonowych mnożą się obietnice przysporzenia dni i lat żywota i pokoju tym, którzy strzegą przykazań. Najpierwsze też umysły ludzkie sławiły zawsze tę porę uciszenia i ułagodzenia, której Bóg udziela wybranym swoim pod koniec dłuższego życia.

Od Cycerona do Pani Świeczyn, nie zliczyłoby pięknych pochwał starości, traktatów, hołdów i pieśni na cześć spóźnionej dni ludzkich pory. A ilekroć coś nam przychodziło czytać w tym przedmiocie, myśl zawsze zwracała się ku Babunieczce naszej, która tak pięknie uosabiała w sobie całą świętość i rzewność starości. Godziła się ona na piękne świadectwo oddane jesieni życia przez zacnego Domejkę: „*Kiedy się zbierze z uwagą co się przebyło, całą summę łask i napomnień Bożych w tem życiu, to się na starość widzi to życie daleko może okazalszem niż było za młodu; w przysionku do wiecznego to nawet ziemskie widzi się w lepszym świetle, w tęczowych kolorach. Wszak słońce, kiedy się chyli do horyzontu, choć to samo co było u zenitu, większem nam się być wydaje, wspanialszem i łagodniejszym; i księżyc w pełni piękniejszy niż na nowiu.*” Nie dziw, że i poeci poznali się na uroku starości, i że się do niej znalazła oda, którą przeczytaliśmy raz Babci:

*„A więc bądź błogosławiona,  
Jako słońce u zachodu,  
Ty, ostatnia dobo życia,  
Bo i w tobie utajona,  
Taż moc jego co z powicia,  
Rośnie z nami; co za młodu  
Myśl uskrzydla do zawodu.*

---

<sup>42</sup> Tłumaczenie: [...] gry w wyścigi.

*W sercu męża męstwo krzepi,  
Aż w tobie, podobna słońcu,  
Zachodząc, oświeci w końcu,  
Z czem życiu święcej i lepiej,  
By zeń duch czystszy i krzepszy,  
Szedł na sąd i żywot lepszy.*

*Starości! Ja w majestacie  
Powagi twej i uroków,  
Witam nie tylko postacie  
Patryarchów i Proroków.  
Nie tylko w ojcach ojczyzny  
Niosę hołd dla ich siwizny.*

*Ale ty nawet w postaci  
Tylu przyjaciół, spółbraci,  
Stoisz przede mną tak święta,  
Spokojna i uśmiechnięta,  
Jak w pośród wnucząt swych grona,  
Dziejowa polska matrona,  
Ideał ducha niewieści,  
Przedmiot miłości i cześci.<sup>43</sup>*

I naszej Babuni przyszło wstąpić w ten nowy okres życia, a weszła weń z całym dostojem żałobnym swego wdowiego stanu. Ale idące brzemień lat długich nic w niej nie zmieniło, nie ostudziło, nie przyćmiło. Gdy starce nawet bardzo ukochane często dla rodzin stawają się w końcu ciężarem, ona owszem coraz bardziej przybierała rolę podpory wszystkich i każdego z osobna. W jej serce, jak w jaką krynicy, ściekały łzy całych pokoleń rodzinnych, przybywających do niej po ukrzepienie lub pociechę. Gdy się co w życiu powikłało lub złamało, pierwszą myślą było zaraz spieszyc do Oporowa, po radę i światło, po słowo spólcucia lub pomocy. Nikt tu na darmo nie przyjechał, nikt z próżnym nie odjechał sercem.

Gdyby te mury Oporowskie mogły ludzkim przemówić głosem, poświadczyłyby wszystkim smutkom, które tu wsiąkały jak w rolę żyzną. Każdy przynosił swój krzyż i oddawał go Babci do niesienia, a ona go brała na swe barki i przykładem zachęcała, tak, iż potem zawsze wydał się być lżejszym. A znów każda radość spotęgować się musiała, odbijając się w tym sercu, gdzie taka była gotowość udziału we wszystkim co swoich smuciło lub cieszyło. Życie jej podwoiło się, potroiło uczuciem.

Nikt tu nie był pokrzywdzonym, bo dla wszystkich gotowe znalazło się serce. Nieraz wobec niej uprzytomniały nam się wiersze Wiktora Hugo, tak trafnie określające miłość macierzyńską:

*„Ô l'amour d'une mère! amour, que nul n'oublie!  
Pain mystérieux<sup>44</sup> qu'un Dieu partage et multiplie,*

---

<sup>43</sup> Odyniec.

<sup>44</sup> W oryginalnym wierszu Wiktora Hugo: „merveilleux”.

*Table toujours servie au paternel foyer –  
Chacun en a sa part, et tous l'ont tout entier!*<sup>45</sup>

I oto domek Oporowski nie przestał być jądrem rodziny i okolicy całej, nie przestał się zaludniać przybywającymi zewsząd, tak dobrze, że w saloniku bywało nieraz za ciasno, a przed dworem po trzy i cztery stały pojazdy. Babunia przez te wszystkie lata ani się zmieniła wiele powierzchownie, ani też trybu życia nie odmieniła. Zawsze dzień jej schodził jednak. Budziła się coraz rychlej i po pacierzach, kilka godzin poświęcała jeszcze w łóżku załatwianiu korespondencji. O ósmej przechodziła do kaplicy domowej, aby wysłuchać Mszy Świętej, podczas której codziennie niemal przystępowała do Stołu Pańskiego. Przy śniadaniu nadchodziły listy, na które znów wypadało odpisać. Czytanie pobożne uzupełniało ranne zajęcia. Na obiad prawie zawsze się ktoś znalazł, a od obiadu Babunia nie wracała do swego biurka, lecz zasiadała w salonie, gdzie reszta dnia jej schodziła bądź na czytaniu, bądź na rozmowie. W lecie zaś, popołudniowe godziny spędzała pod namiotkiem z dzikiego wina, czasem coraz rzadziej w ostatnich latach wychodząc nieco w ogród, aż do płaczącego Jesiona, lub któregoś z ulubionych wiązków, co jeszcze zrobiła na kilka miesięcy przed śmiercią wsparta na jednym z wnuków. Największą jednak część dnia przesiadywała w własnym pokoju, przed tem biurkiem, gdzie każdy grakim był pamiątką sercu drogą. W głębi portret Referendarza i ukochanej bratowej Ireny, dalej fotografie dzieci, świętości różne, zeszyty porządnie ułożone, na ścianach ryciny, między oknami Guzowski pałac i w około siedmiu braci Łubieńskich. Meble staroświeckie, skromne nad wyraz, łóżko z upiętrzoną pościelą, dwoje okien, drzwi dwoje, przez które cały ruch domowy ustawicznie płynął aż do ostatniego dnia życia Babci, a ta biedna izdebka tak jej była miłą i drogą, że na kilka dni przed śmiercią unosiła się nad nią i pytała: „Czyż można lepiej mieszkać ode mnie? Czyż można lepszy pokój od niego sobie wymarzyć?”

Siedziała więc tak sobie i zajmowała się na przemian nasza Babunia w swojej sypialni i w salonie, a zawsze jak zapamiętamy w jednakim stroju. Suknia czarna bez stanu, związana jedwabnym fartuszkim, który stanowił jedyną jej elegancją. Gdy chodziło o wystrojenie na ślub wnuczki lub inną uroczystość, kupiła tylko nowy fartuszek. W kieszeniach zapasy wszystkiego po troszę, i świętości i fotografii drogich, i drobnych pieniążków na jałmużny, i chustka, i tabakierka. Peleryna lub raczej ciepła mantylka osłaniała ją i otulała, biała duża freza otaczała szyję, na głowie i na przepysznych białych włosach spleconych w warkocz upięty wysoko, czepeczek biały o szerokiej szlarce, suto rurkowanej, a na nim chusteczka biała, popielata lub liliowa, stosownie do okoliczności i gości. Puchlina nóg nie pozwalała jej dużo chodzić, a później i słabość krzyżów utrudniała ruch wszelki. Zrywała się jednak raz po raz, to aby powitać miłych jej sercu, to aby czem usłużyć lub zabawić swych gości. Twarz była miła i sympatyczna, choć rysy nie uderzały regularnością. Z latami cała postać dziwnie zmalat i wybielała, jak gdyby krwi już nie stało, ale ta białość dodawała jeszcze uroku jej obliczu. Zapytany prawnuczek jak wygląda Oporowska Babunia, z trafnością dziecka odpowiedział: „Taka milusieńka, bielusieńka.” A wracający z Oporowa znakomity kapitan polski z uniesieniem powtarzał: „Śliczną macie Babunię!”

Pan Bóg zrobił jej wielką łaskę i ją nie przesadził na starość. Zostawił w domu i miejscu związanem z jej młodością i przeszłością, i oto piękna jej sędziwość jęła płynąć wśród swoich

---

<sup>45</sup> Fragment z „Liści jesiennych” (I, 21-24) Wiktora Hugo. Tłumaczenie:

*O miłości matczyna, miłości, której nikt nie zapomni!  
Cudowny<sup>45</sup> chlebie, który Bóg dzieli i pomnaża,  
Stole zawsze zastawiony w ojczystym domu,  
Każdy ma w nim swą część i wszyscy mają go w całości!*

spokojnych lat falą. Spokojną zapewne, ale nieraz gorzką i ciężką, bo im więcej w sercu miłości, tem więcej i boleści się znajdzie.

A oprócz prób i krzyżów osobistych o których nam jeszcze wspomnieć przyjdzie, oprócz smutków tajnych, Bogu jednemu wiadomych, odcierpiała Babunia wiernie wszystko co w tych latach Kościół, kraj, lub jej drodzy a bliscy cierpieli. Ucisk Kościoła przejmował ją takim bólem, że nie napisała prawie żadnego listu, w któremby nie zwróciła pióra i myśli do tej najdroższej sprawy. Gdy pod koniec życia zgon nawet najbardziej umiłowanych istot przyjmowała z poddaniem i męstwem, raz tylko się na chwilę w tym poddaniu zachwiała i o mało głośną nie wybuchła skargą, kiedy w 1877 roku nagła śmierć księdza Jana Koźmiana pozbawiła Kościół prześladowany potrzebnego filaru. A znów klęski i smutki krajowe odbijały się wiernie w jej duszy. Po ciężkim roku 1863cim, kiedy po nieszczęściach publicznych przyszło jej opłakać i córkę i zięcia Chłapowskich. Znękana nadmiarem bólu, zapisuje w książce mieszczącej jej ulotne wiersze, iż przez ten rok cały nadto była smutną, aby cokolwiek napisać i rymy układać. Wszystkie zaś coraz to liczniejsze rodzinne troski i straty, schodziły się niby mieczami w jej macierzyńskim sercu. Cierpiała najprzód z dziećmi swemi, potem z wnukami i prawnukami. Z dwojga domów jej bliskich upodobało się Bogu wybrać sobie pierwociny licznego potomstwa z Kotowiecka i Czerwonejwsi. Nieraz nam Babunia wspominała straszną próbę jej życia, gdy Józefostwo Morawscy w jednym tygodniu utracili troje dzieci i dom ich osierocony pozostał przez jakiś czas, bez żadnego dziecięcia! Wzdrygała się Babunia na samą pamięć tego nieszczęścia, gdy przybywszy do Kotowiecka, zastała biednych rodziców oniemiałych z bólu i przez kilka dni siedząc z nimi, nie śmiała przerywać tego milczenia pełnego grozy. I z Czerwonejwsi wybrał sobie Bóg ofiary sposobne, nie odwołując ich z tej ziemi, ale odrywając od świata i rodziny. Przyszło bowiem pp. Chłapowskim dwie najstarsze córki poświęcić służbie zakonnej, do której uczuły powołanie. Mimo najgorętszej pobożności, nie lada to ofiara dla serc rodzicielskich. Uczynili ją wszakże bez targowania się z Bogiem, a On jeden wie ile siły zaczerpnęli w przykładzie i sercu Babuni. Jenerał zaś patrząc na rozdarcie ich, a potem stopniowe ukojenie tęsknoty, takim wierszem upamiętnił ich ofiarę:

*„Niebem ziemskie żale kojąc,  
Niech się cieszą swemi losy:  
Bóg ich w te dwa skrzydła strojąc  
Zławił im polot w niebiosy.  
Dwóch gołąbków hymn codzienny,  
Będzie o nich Bogu śpiewać.  
I z dwóch gwiazd się blask promienny,  
Z łaską na ich czoło zlewać.”*

Straty materialne swych bliskich oczywiście także odczuwała najdroższa Babunia, wszakże zawsze im w życiu podrzędne przyznawała stanowisko i brzydziła się wszystkim, co zakrawało na jakieś przywiązanie lub cześć dla złota. W chęci bogactw upatrywała za Apostołem źródło wszego złego i choć nieraz dotkliwie wypróbowana doczesnemi troskami, nigdy nie przestała powtarzać, że chleb powszedni i mierność najpewniejszą drogą zbawienia i szczęścia. O tyle tylko bolała nad brakiem szerszych zasobów, o ile ona czynność serca krępuje. Raz jednej z wnuczek na imieniny przesała karteczkę z starannie narysowaną kratką złożoną z wyrazu: *nie mogę*. *O tę kratkę rozbijały się przez całe życie serca mego fantazje*, pisała tłumacząc zagadkę ujętą w formę żartobliwą.

A jednak przy pogardzie dla złota jakież był w niej szacunek dla uczciwie zapracowanego grosza, jak wygórowane pojęcie ładu koniecznego w interesach, jaki wstręt lękliwy dla długów, jakie

poczucie obowiązku, oszczędności. *En fait d'économies, je ne comprends que les privations*<sup>46</sup>, mawiała Pani Świeczyn, a Babcia do życia zastosowała owo zdanie. Hojna dla drugich w miarę możliwości, dla siebie była zawsze oszczędną, surową w odmawianiu sobie każdego zbytku. Wywalczyć trzeba było najmniejszy nawet sprawunek dla jej osoby, wszystko znajdowała zbyt drogiem i dobrem, ilekroć o nią samą chodziło. Zamiłowanie ubóstwa rosnęło wciąż w jej duszy, spotęgowało się w ostatniej chorobie, gdy wymawiał się od najmniejszej dogodności. Rosnące też umartwienie na każdym kroku chwyciło okazyje pokutnego ćwiczenia. Trudno przeliczyć wszystkie w tej mierze zobowiązania i śluby kochanej Babci. Im co bardziej lubiła, tem chętniej sobie odmawiała. Z pomiędzy jednak wielu przeróżnych umartwień, jednym z najcięższych było niezawodnie postanowienie nie otwierania listów nadeszłych w Piątek, aż po upływie dwóch godzin od nadejścia poczty, co przy żywym usposobieniu Babci, nie lada stanowiło wyrzeczenie.

Ale po tem zboczeniu, należy mi wrócić do właściwego toku jej życia. Nieszczęścia nie zwykły chodzić pojedynczo. Śmierć rzadko kiedy jednostki z rodzin wrywa. Zaledwie też p. Referendarz zamknął oczy w Oporowie, w Strzyżawce synowa, Marya z Grocholskich Morawska pospieszyła za teściem. Klęczącemu na zamykającym się grobie żony Wojciechowi Morawskiemu wręczono wiadomość o zgonie Ojca. Życie tego jedyne go syna Babci, wedle jej własnego świadectwa, rozpada się na dwie części. Żył lat sześćdziesiąt kilka. Pierwsza połowa jego życia była pełna słońca i szczęścia, w ciepłe przyjaźni ludzkiej i nieustannych powodzeń. Druga połowa krzyżami się znaczy prawie bez przerwy, ale na tej ciernistej drodze dusza coraz wyżej się podnosi. Owdowiawszy, natychmiast powziął myśl wstąpienia do zakonu, a gdy mu nie było dozwolonem zaliczyć się w szeregi synów Świętego Ignacego, uregulowawszy pospiesznie doczesne sprawy, odbiegając olbrzymiej w Księżtwie i na Podolu fortuny, udał się do Rzymu dla odbycia tamże studyów teologicznych. Pobyt jego w Francuskim Kollegium Świętej Klary, mnogich mu zjednał przyjaciół, a wszystkie sfery rzymskie długo wspominały jego poświęcenie, dobroć serca i pokorę bez granic. Otrzymał kapłańskie święcenia, wrócił do kraju. Na pierwszą Mszę Świętą jaką wśród swoich miał odprawić, zjechała się licznie rodzina do Czerwonejwsi, z wzruszeniem otrzymując błogosławieństwo neoprezbytera, który od sędziwej już Matki rozpoczął ceremonią ściskania głów. Gorąca żarliwość nie znajdowała w naszych stosunkach odpowiedniego pola działania. Żądny wyższego poświęcenia, a nawet męczeństwa, pospieszył ksiądz Wojciech na Podole i tam wiele się przyczynił do rozgrzania uczuć religijnych i ducha katolickiego. Z owych czasów zostało wspomnienie jego poświęcenia dla pędzonych w Sybir, którym zachodził drogę, aby im nieść pomoc duchowną, choć go kozacy nahajkami odpędzali. Straszne lata 1863-64 otworzyły nowe pole jego apostołskiej żarliwości. Przeniósłszy się do Warszawy oddał się cały postudze więźniów politycznych, zamkniętych w cytadeli. Aby się dostać do nich nieraz klękał przed żandarmami i stróżami, całował ich po rękach, wystawiał się policzki i obelgi, byle zmiękczyć ich serca i dotrzeć do wnętrza więziennego gmachu. Tam nowe czekały go trudności. Serca więźniów zamykały się przed kapłanem, upatrywali w nim szpiega, przyjmowali z nieufnością, poddawali się rozpaczce. Wszystko zwalczał pokorą i słodyczą, opatrywał dusze w Sakramenta Święte na drogę wieczności lub Sybir, a nie zapominał i o nędzach cielesnych, krzątał się za potrzebami więźniów, wypełniał polecenia wobec ich rodzin, wciąż zapominając o sobie do tego stopnia, że wieczorem mdlał z głodu i wyniszczenia, nie mając czasu posilenia się nawet filiżanką herbaty aż do późnej nocy. Rząd wydalil go ostatecznie z Warszawy. Wrócił więc do Oporowa, ale wrócił z złamanem zdrowiem i ostatnie lata przepędził przy Matce, resztki sił oddając na posługę parafialną. Owe lata wiele pociech przyniosły Babuni. Co rano słuchała Mszy św. syna, komunikowała z jego ręki, codziennie czytywała z

---

<sup>46</sup> Tłumaczenie: *Co do oszczędności, to uznaję tylko ograniczanie moich własnych potrzeb [...]*.

nim i rozmawiała wiele, a stosunek ich wzajemny przybierał coraz to rzewniejsze cechy. Ze strony Babci, do macierzyńskiej miłości przyłączyło się głębokie uszanowanie dla godności kapłańskiej syna. W nim pokora rozwijała coraz to większą dziecinną niemal uległość. Babunia zwała go odtąd księdzem Wojciechem, zaniechawszy poufalszych zdrobnień. On we wszystkim oglądał się na pozwolenie „mamy”, za wszystko przepraszał i w rękę ją całował. Dotkliwie fizyczne cierpienia nie wyczerpnęły jego słodyczy, owocu wielkiego wyrobienia, nie zwarzyły świetnych zdolności, którymi słynął za młodu. Świat osądził, że te zdolności pozostały stosunkowo jałowe, nie wydając po sobie stałych owoców. Ale Bóg policzył rozproszone na wszystkich szlakach poświęcenia i zasługi swego kapłana i rychło go po nagrodę powołał. Wprzód jednak wielkiej i jemu i Babuni naszej udzielił pociechy, wzywając do służby swojej najstarszego jego syna Maryana, dzisiejszego rektora Tarnopolskiego konwiktów Ojców Jezuitów. Po odbyciu w Starejwsi nowicjatu, młody zakonnik przybył do Oporowa odprawić premicje swoje. Dzień ten 15go Sierpnia 1870go roku należyć będzie do najpiękniejszych w dziejach kochanego Oporowa. Odnowiła się pamięć licznych zjazdów, mnogi zastęp krewnych otoczył wstępującego na stopnie ołtarza młodego kapłana. Asystował mu Ojciec, promieniejący szczęściem i radością. Po Mszy św. wszyscy z rozrzewnieniem ujrzeni sędziwą babkę przyklękającą wraz z synem księdzem, aby otrzymać błogosławieństwo wnuka. Wspaniały kobierzec, haftowany ręką kilkunastu osób z najbliższej rodziny, upamiętnił dzień ten w kościele Oporowskim. Po uroczystości kościelnej nastąpiła uroczystość rodzinna, weselna, bo święcąc śluby jednego z siebie, prawdziwe obchodziliśmy wesele. Obiad zastawiony pod jesionem płaczącym, mnogich zgromadził gości. Swoboda prawdziwa chrześcijańska ożywiła zebranie, któremu przewodniczyły dwie Babunie, dwie siostry sędziwe, pani Sobańska i nasza Babcia. Znalazły się i piękne i rzewne toasta, ogród brzmiał serdeczną wesołością i doprawdy mieliśmy powody weselenia się i dziękowania Bogu za sługę jakiego sobie spośród nas wybrał.

Ostatni to był promień pociechy w ukrzyżowanym życiu księdza Wojciecha. W pięć lat później przyszło Babuni stanąć nad łóżem umierającego syna, pierworodnego dziecka swego. W rannych godzinach, dnia 26go Sierpnia 1875 roku żegnała go na ziemi błogosławieństwem macierzyńskim i zapewnieniem, że nigdy jej serca przez długie nie zasmucił lata. Uroczysta to była chwila, niezapomniana dla tych, którzy byli świadkami tego rozłączenia do czasu matki z synem, naznaczających sobie spotkanie w wieczności.

I ten cios Babunia przyjęła i przeżyła mężnie, ale odtąd Sierpień stał się bardziej jeszcze smutnym dla niej miesiącem, złożonym z samych rocznic żałobnych. Mawiała nawet, że to miesiąc dla rodziny nieszczęśliwy i stąd corocznie lękaliśmy się o nią podwójnie w tym czasie tylu bolesnymi wspomnieniami zaciemnionym. Oprócz rocznicy śmierci Matki Tekli z Bielińskich Łubieńskiej i szwagra Ludwika Sobańskiego, Babcia obchodziła w tym miesiącu wspomnienie zgonu dwóch córek Tekli i Ludwika, dwóch wnuczek Zosi i Józki Morawskich, ulubionej bratowej Julii, później jej syna Kajetana, drogiego ojca naszego, młodej żony Zbigniewa Morawskiego i jej córeczki. Słowem dzień po dniu przynosił żałobną rocznicę, a wiadomo jak wiernie Babcia je święciła, ofiarą Mszy świętej za drogich zmarłych, komunią świętą na ich intencją i ciągłą pamięcią w dniu całym. Tych rocznic przybywało z latami, a żadna pominięta nie była. Jeszcze w ostatniej chorobie wspominała związane z każdym dniem pamiątki.

Z latami też Oporów z metropolii rodzinnej i nekropola się stawał, a obok żyjącego w dworku serca, ileż tam serc szlachetnych, kochanych z kolei pod cichym zasypiało kościołem! Cmentarz zaludniał się Morawskimi, za referendarzem poszedł niebawem Jenerał, biedny pan Michał zatęsknił za starszymi braćmi. Później osierocona Lubonia odmłodzonem zajaśniała życiem i szczęściem. W synowicy swej Tekli z Ostrowskich Morawskiej znalazła Babcia przybraną córkę, w jej matce



Wojewodzinie Ostrowskiej, godną siebie rówieśnicę. Lecz i one poczęły na Oporowskim cmentarzu. Pięknie jeden z wnuków się odzywał, że ilekroć go ogarnia zwątpienie lub znękanie, tem myśl swą przenosi i podnosi się wspomnieniem tych, którzy tam oczekują zmartwychwstania.

Lecz jeśli ludno o coraz ludniej robiło się na cmentarzu, nie mniej ludno bywało raz po raz i w domku Oporowskim. Im starszą stawała się Babunia, tem bardziej kwapiono się zewsząd, aby jej błogostawieństwo otrzymać. Przybywały tu młode małżeństwa, spieszyły matki z dziećmi swemi, dorastające przywożono panienki, młodzieńców przed wyjściem w świat przedstawiano powszechnie szanowanej matronie. Oporów stał się celem prawdziwych pielgrzymek, a nikt nie żałował trudu podróży, każdy odjeżdżał podniesiony na duchu, lub oczarowany. I ktoś pięknie powiedział: „*Il est encore des jours heureux<sup>47</sup> pour la vieillesse, si elle s'intéresse à tout, et se désintéresse d'elle-même.*”<sup>48</sup> Charakterystyka to Babuni naszej w jej żywym zajęciu wszystkim co drugich zajmowało, z zapomnieniem własnych trosk i kłopotów. Wbrew zwyczajom starców, chwila obecna nie mniej ją obchodziła od przeszłości. Równie się interesowała bieżącymi wypadkami jak dawnymi wspomnieniami, a ruch gości niezawodnie utrzymywał w niej to niesłychane ożywienie umysłu. Najwięcej jednak cieszyła się zawsze odwiedzinom młodego pokolenia. Osobny taborecik przy biurku Babci przeznaczonym był dla przesiadujących wnuczek i wnuków, a Ona rzucała ochotnie pióro lub książkę, aby rozmawiać, dopytywać się, opowiadać lub pouczać garnącą się ku niej młodzież. Żywioł to był zresztą dla niej potrzebny i konieczny, i sędziwość jej wtedy tylko więdniała, gdy jej przelotnie zabrakło otoczenia i atmosfery młodości. Tyle jej miała w sercu, że potrzebowała czuć ją w około siebie. Zjazdy wnuków najmiłszą też stanowiły jej pociechę. Zachowując powagę, pozwalała na wszystkie niewinne ich swawole, wyrozumiała dziecinnym zachciankom. Pomnę, jak raz młodsze ich grono, bawiąc się w ogrodzie osiołkiem, wprowadziło go do domu Oporowskiego i kilkanaście razy z rzędu przez pokój piszącej przy swem biurku Babuni nieszczęśliwe przepędziło zwierzątko, ciesząc się niewymownie z tak mądrego konceptu, a bardziej jeszcze z pobjaźania Babci. Tak nas nieraz dużo się zjechało razem, że w przedpokoju stawały prawdziwe góry płaszczów i futer, zwłaszcza w dniu 4go Stycznia, a stół jadalny podczas obiadu tak się ustawicznie przedłużał przybywającymi, iż nareszcie po za próg sali występował.

Ale prawdziwemi wakacyami Babci w jej sędziwości bywały przez lat wiele doroczne powroty siostry, pani Róży Sobańskiej. Wśród tych pięknych miłości Babci, nie widzieć której przyznać wyższość. Ale to pewne, że jako siostra była także niezrównaną, a pani Róża, równem jej, godnem jej odpowiadała uczuciem, z odcieniem uszanowania dla starszej siostry, która niegdyś jej wychowaniem kierowała. Przez życie całe, nawet gdy się ich drogi rozeszły oddaleniem, codzienny stosunek listowny znośił dzielącą je przestrzeń. Tak obiedwie nawykły do pisywania do siebie o jednakiej godzinie, iż żartowano, że gdy są razem w tej jednej dnia porze, nie wiedzą jak zapełnić chwile przez tyle lat stale poświęcane owej siostrzanej korespondencji. Co to była za uciecha wzajemna! Jakie przeciągłe rozmowy! Zwykle nawet razem mieszkały i od świtu jak ptaszęta gwarzyły. Później, choć pani Sobańska osobny zajmowała pokój, cały dzień przy siostrze spędzała i trudno było bez najwyższego wzruszenia patrzeć na tę gołębią parę świętych i kochających się sióstr z krwi i ducha. Razem się modliły, razem pisały listy, czytały, rozmawiały, a nam przybywającym, zwierzały się w sekrecie jedna przed drugą z budowania otrzymanego przykładami i udoskonaleniem siostry. Babcia unosiła się nad cnotą Róży, p. Sobańska płakała łzami uwielbienia nad Polusią, a obie tak słuszne miały powody

---

<sup>46</sup> W oryginale: „*souriants*”.

<sup>48</sup> Tłumaczenie: [...] „*Starość ma wciąż swoje radosne dni, jeśli tylko interesuje się wszystkim i przestaje się interesować sama sobą.*” Cytat zaczerpnięty z „*Dictionnaire de maximes*” Louisa Josepha Mabire’a.

podziwiać dojrzewające w swych duszach owoce łaski Bożej i dobrej woli ludzkiej, że i słuchających tych zwierzeń wzruszenie ogarniało. Czasem i który z braci nadjechał z Warszawy, aby uzupełnić radość spotkania. Najczęściej przybywał p. Henryk, zawsze przez siostry uważany jako Henryś dawny, figlarz wielki i niesforny, zwłaszcza gdy szło o pamiętanie o swoim zdrowiu. Staruszkowie nie mogąc udawać się do kościoła, schodzili się codziennie w kaplicy dla wspólnego odprawiania majowego nabożeństwa. Modlitwy czytała Babcia, ale z pieśnią największa bieda, kto zaintonować potrafi? Stara służąca pani Sobańskiej przychodziła na pomoc sędziwej trójce rodzeństwa, intonowała *Salve Regina* lub *Nie opuszczaj nas*, a starcy nucili drżącym głosem na chwałę Maryi!

Nieraz za stołem zasiadało kilka wieków, gdy jeszcze do zebranego rodzeństwa przybył trafem jaki gość zbliżony wiekiem. I tak raz obok Babuni, pani Sobańskiej i p. Henryka Łubieńskiego, znalazła się księżna Leonowa Sapieżyna i pani Tystusowa Działyńska w Oporowskim saloniku. Patrząc na to zebranie zdawało się, że trudno przeliczyć lata sędziwego koła, gdzie jednak więcej życia i serca niż wśród młodych widziało.

Ale jeśli najwyższą pociechą były dla Babci przedłużone pobyty jej siostry, okupywała tę radość boleścią pożegnania. Coś się w ich sercach rwało przy rozstaniu. Za każdym rozłączeniem mniemały, że się już na ziemi nie zobaczą i dawały sobie rendez-vous<sup>49</sup> w wieczności. A tym czasem rok za rokiem Pan Bóg odnawiał tę pociechę i przedłużał im życie i pozwalał owym spotkaniom powtarzać się wielokrotnie, zawsze z jednaką żywością uczuć i rozradowania.

Mówiąc o tym ostatnim okresie życia Babuni, jakże nie wspomnieć o tej, która przez lat trzydzieści ciągnęła jej była towarzyszką i najdroższą pociechą. Widząc tak spokojne życie Matki i Córki, Babci i Cioci Rózi, nie zdawaliśmy sobie może sprawy z poświęceń tej ostatniej, które nam jej wielka miłość zastaniała. Nie czuliśmy ofiary z jej strony, bo ona z biegiem lat zniknęła w codziennym wypełnianiu serdecznej posługi i obowiązku. A jednak kto wie jak trudno zrazu może jej było przyzwyczaić się do życia bądź co bądź przykutego na jednym miejscu. Widzimy ją dziś złamaną cierpieniem i nie pamiętamy, że gdy zaczęła swe posłannictwo Antygony, była jeszcze stosunkowo dość młodą, a od razu wyrzec się musiała wszelkich fantazy i zachcianek, i swobody i wyjazdów, i rozrywek i towarzyskich przyjemności, aby wiernie czuwać nad sędziwą matką. Ale jeśli nam to nieraz wychodziło z pamięci, Babcia o tem wszystkim nigdy nie zapomniała. Wyplącała się córce taką miłością, jaką żadne inne dziecko w podobnym nie darzyła stopniu. Wciąż ją miała na myśli, na sercu, troskała się o nią, we wszystkim chciała ułatwić jej życie.

Owdowiawszy, na nią też zdała rządy domowe, sama usunęła się od wszelkiego kierownictwa, wyrzekła woli w wielkich i małych rzeczach, zachowała sobie jedynie rozdawnictwo jałmużn codziennych. I oto niemal do dnia jej śmierci, ilekroć żebrak stanął przed domem, obok jej łóżka szukano skarbonki lub sakiewki z przysposobionem dla ubóstwa groszem.

Zawsze mało ruchliwa i do wyjazdów z Oporowa nie skora, pod koniec życia wcale się Babunia nie ruszała z domu. Ostatni raz objechała rodzinę na dziewiętnaście lat przed zgonem z okazji Chrztu najstarszego prawnuka, Stasia Chłapowskiego z Kopaszewa. Później raz jeszcze była u Córki zakonnych w Poznaniu, ale czując się niezdrową, wróciła pospiesznie do domu, bez żadnych po drodze wstępów. Udało się jeszcze niekiedy któremu z wnuków przewieźć ją po polach Oporowskich, lub gdzie w najbliższe dojechać sąsiedztwo, ale niechętnie siadała do powozu i wypraszała się od każdej przejażdżki. Ostatni raz wyjechała spacerem z Panią Sobańską na trzy lata przed śmiercią.

Podziwienia godną była do końca czynność niesłychana owego ślicznego umysłu. Zdawało się, że dosłownie chce ona sprawdzić w życiu zdanie Tocquevilla, które nam jak wraz malowało

---

<sup>49</sup> Tłumaczenie: [...] *spotkanie* [...].

usposobienie naszej drogiej Babuni. Francuski myśliciel pisał do przyjaciela pod koniec życia swego: *„Tu sais que le principe le plus arrêté dans mon esprit est qu’il n’y a jamais d’époque dans la vie où on puisse se reposer; que l’effort en dehors de soi, et plus encore au dedans de soi, est aussi nécessaire et même bien plus nécessaire à mesure qu’on vieillit, que dans la jeunesse. Je compare l’homme en ce monde à un voyageur qui marche sans cesse vers une région de plus en plus froide, et qui est obligé de remuer davantage à mesure qu’il va plus loin. La grande maladie de l’âme, c’est le froid. Et pour combattre ce mal redoutable, il faut non seulement entretenir le mouvement vif de son esprit par le travail, mais encore par le contact de ses semblables et des affaires de ce monde. C’est surtout à cet âge qu’il n’est plus permis de vivre sur ce qu’on a déjà acquis, mais qu’il faut s’efforcer d’acquiescer encore; et au lieu de se reposer dans les idées dans lesquelles on se trouverait bientôt comme endormi et enseveli, mettre sans cesse en contact et en lutte les idées qu’on adopte avec celles qu’on n’adopte pas, les idées qu’on a eues dans sa jeunesse avec celles que suggère l’état de la société et des opinions à l’époque où on est arrivé.”*<sup>50</sup>

I Babunia bała się zimna, bała się zaskorupienia i zaśniedzenia w przeszłości, nie chciała zatrzymać się w umysłowej czynności. O wszystkim rada się dowiadując, interesowała się wszelakim ruchem i postępem literatury, nauki i wiedzy ludzkiej. Bystrość jej wyzyskiwała specjalne nauki swych gości. Z każdym umiała rozmawiać w właściwym kierunku, lekarza badała o medycynę, filologa o starożytność, estetyka o nowe obrazy. Ta żywa ciekawość stanowiła niewątpliwie osobny wdzięk jej starości. Śledziła pilnie bieg wypadków w dziennikach, ilekroć się pojawiła jaka piękna mowa parlamentarna lub wiecowa z najwyższym czytała ją zajęciem. Cała rodzina składała się na zwożenie jej ciekawych wiadomości, książek lub czasopism. Wypadało się z nią dzielić każdym podnioślejszym dziełem lub wrażeniem. Tradycją własną i wpływem Jenerała, głównie się zapalała do poezji. Każdy wierszyk był jej źródłem niewyczerpanych rozkoszy. Ostatnią bodaj uciechę sprawił jej w chorobie wierszyk Zdzisia o Nowem Pism Jenerała wydaniu. Ale i lżejsza literatura żywo ją obchodziła. Pewnego dnia przyjęła nas z wymówką: *„Jakże to być może, wszyscy mówią o Babagasio (sztuce politycznej V. Sardou), a wyście mi tego nie przeczytali!”* Nie było większej przyjemności, jak przywieźć do Oporowa jaką ładną nową powieść. Dziewięćdziesięcioletnia staruszka tak się zapalała jak pensyonarka. Od rana trzeba jej było czytać, tak ciekawą była końca, a jakkolwiek szybko pędził głos lektorki, żaden odcień delikatniejszy nie uszedł jej uwadze, zaraz uśmiechem lub słowem dawała poznać swe ukontentowanie. Ostatnią powieścią jaką jej czytałam był L'abbé Constantin par Ludovic Halévy. Pono trudno o większą rozkosz nad widok Babci ożywionej, zabawionej na przemian i wzruszonej. Czasem znalazła się i dramatyczniejsza jaka powieść, a w niej sytuacje mętniejsze lub jakie słówko mniej uczciwe. Znając delikatne poczucie Babci, wnuczki przerabiały w czytaniu niektóre

---

<sup>50</sup> Tłumaczenie: *„Wiesz, że najbardziej niezmienną zasadą mego ducha jest to, że w życiu nigdy nie ma okresu, kiedy by można odpocząć. Że troska o to, co zewnętrzne [tj. materialne], a jeszcze bardziej o to, co wewnętrzne [tj. duchowe], jest równie konieczna, a nawet bardziej niezbędną w miarę starzenia się niż za czasów młodości. Porównuję człowieka na tym świecie do podróżnika, który nieustannie zmierza ku coraz zimniejszej okolicy i zmuszony jest poruszać się tym intensywniej, im dalej idzie. Wielką chorobą duszy jest chłód. Żeby zaś zwalczyć tę groźną chorobę, trzeba nie tylko zachowywać żywotność swego ducha za pomocą pracy, lecz również kontaktując się z ludźmi podobnymi sobie i ze sprawami tego świata. Zwłaszcza w obecnym wieku nie wolno już żyć, poprzestając na tym, co się do tej pory zdobyło, lecz trzeba usilnie zdobywać nadal. Zamiast spoczywać pośród idei i wkrótce znaleźć się jakby we śnie czy też w grobie, należy bez przerwy doprowadzać do kontaktu i walki między poglądami, które się uznaje i których się nie uznaje; między tymi poglądami, które się miało w młodości, i tymi, które podsuwa stan społeczeństwa oraz opinie epoki, której się dożyło.”*

wrażenia lub skrócały osnowę. Tak brała na seryo losy bohaterów i bohaterki powieści, że gdy w jednym romansie Feuilleta rozchodzą się przy końcu dość smutnie, bez wzajemnego porozumienia, Babunia żywo spytała: „*Ależ oni się kiedyś jeszcze spotkali, nieprawdaż? Oni musieli spotkać się i pobrać.*” Przytaczam te drobiazgi jako dowód świeżości tej ślicznej natury, którą lata nic nie ostudziły. Z młodego usposobienia zachowała i pewną romantyczność wyobraźni, zniewalającą ją do żywego wyrozumienia uczuciom serc młodych. W miłości obopólnej upatrywała najpewniejszą, jedyną podstawę przyszłego szczęścia i cieszyła się, gdy skłonność serca bardziej od innych względów, kojarzyła nowe w rodzinie stadła.

Codziennie rozczytywanie się w Żywotach Świątych Pańskich, ulubionem było pokarmem jej duszy. Przez całe bodaj życie nie omieszkła tem ćwiczeniem się zasilac, a to zapatrywanie się na wzory podane przez Boże sługi, niezawodnie odzwierciedlało się w jej czynach. Z potocznych dnia jej zajęć, najwięcej czasu zabierała jej rozległa korespondencja. Listy były węzłem łączącym ją z rodziną i światem. Pisywała stale do wielu osób, do wielu domów, a nadto co dzień trafiał się jakiś list nadzwyczajny. Nawzajem poczta była najlepszą dnia chwilą. Im obfitszy plon przyniosła, tem Babunia więcej się cieszyła i nieraz unosiła się nad tą instytucją znoszącą przestrzeń, łagodzącą rozłączenie. Listy jej pisane na przemian po francusku i po polsku, były do końca prawdziwem arcydziełem rozumu i serca. obok wiadomości udzielanych, zawsze znalazło się miejsce na jaką trafną uwagę lub myśl podniosłą, na jaki cytat lub przypomnienie. Ci, którzy mieli szczęście widzieć i zbliżać się do Piusa IX, nieraz porównywali starość jego do krzepkiej i pięknej sędziwości naszej Babuni. I tu i tam duch wziął górę nad ciałem i nie przygaś pod lat brzemieniem. Żyli oboje słowem i miłością. Listy Babuni z wielu względów przypominały mi przemówienia Piusa IX. Jak on przywoził zawsze ustęp z odczytanego co dopiero brewiarza lub mszału, tak i w jej listach znalazło się zawsze jakie przytoczenie z życia patrona dziennego, lub z ostatniej gazety czy książki. Korespondencja Babci stanowiłaby materiał drogocenny, ale przerastający niemal siły ludzkie. Trzeba by chyba rozporządzać równie długim szeregiem lat, aby ogarnąć ten olbrzymi zapas listów. Byłyby to nie tylko rodzinne i społeczne roczniki, ale i przyczynek do ogólnych dziejów epoki, skoro zawsze znalazł się zwrot do wypadków we Francji czy Irlandyi, do ucisku Kościoła w Polsce, czy we Włoszech, a wszystko przeplatane głębokimi uwagami, trafnem zdaniem lub myślą. Niepodobna tu nawet urywków przywozić, kiedy list każdy stanowił całość doskonałą, świadczącą wymownie czem była Babunia, jak kochała i jak rozumiała wszystko. Nigdy nikomu odpisać nie zapomniała, przeproszała jeszcze za zwłokę, a oprócz listów, ileż to codziennie kreśliła notatek, ile luźnych rzucała na papier myśli, ile wypisywała sobie ustępów z czytanych przez się książek! Stół jej dosłownie zasłany był papierami, zeszytami i zeszycikami. Osobne były książeczki dla prozy, osobne dla wierszy, których bardzo wiele do końca układała. W nich nastrój zawsze podniosły, myśl poetyczna, choć rymy czasem powszednie. Każdy rodzinny wypadek, przeczytana legenda, webrane uczucia przelewało się w ten sposób na papier. W końcu głównie modlitwy potocznym składała rymem, a z pośród obfitego zbioru, nie mało zebrałoby się prawdziwie pięknych wierszy.

Do tych zajęć umysłowych łączyły się i wiejskiego życia nawyknięcia. Zawsze Babunia nadzwyczaj była czułą na piękność przyrody. W jej cudach upatrywała wielkość Bożą i wznosiła myśl wdzięczną o kwiatki lub trawki do Stwórcy wszechrzeczy. Wspominała nieraz, jak przechadzając się za młodu z bratem na łączce w Luboni, pan Henryk przykrył czapką kawałek darni, w której wyrachowali kilkadziesiąt różnych gatunków roślin. Z zachwytem wspominała tę cudną rozmaitość Bożego dzieła. Na oknie jej ustawiono kwitnące doniczki, któremi nacieszyć się nie mogła, a wciąż okiem śledziła postęp rozwijających się kwiatów. W ostatnim roku życia liczyła pączki na różach i cieszyła się niewymownie ich obfitością. Największą sprawiał jej się przyjemność przyniesieniem jakiej gałązki

lub roślinki z ogrodu i pola. Gospodarstwo nie mniej ją interesowało, zwłaszcza owce, ulubiona niegdyś gałąź agronomii p. Referendarza. Corocznie w czasie prania owiec listy jej pełne były troski o zimno dokuczające owieczkom, o wełnę i jej białość, o cenę nareszcie tak różną od dawnych, gdy mąż Jej sprzedawał centnar po 150 talarów. Uprawa grochu i kapusty osobno ją też zajmowała i o te dwa produkty konieczne do wyżywienia czeladki najbardziej się troskała. Żniwowała też po swojemu. Z każdego zboża przynoszono jej wiązanekę, a ona liczyła sobie ilość ziarn w każdym pojedynczym kłosku i stąd wyciągała wnioski o żyzności zbiorów.

Osobnym zbliżeniem do kochanej Babuni było dla nas powierzenie administracji Oporowa bratu naszemu Stanisławowi w ostatnich siedmiu latach jej życia. Wracając ustawicznie tam, gdzie go serce i obowiązek zarówno wołały, miał on sposobność nacieszenia się i korzystania z Babci więcej, niż ktokolwiek w rodzinie, a ona mu wypłacała jego posługę osobną miłością, którą go jeszcze w ostatniej wyróżniała chorobie, a którą radośnie też witała każdy jego powrót do Oporowa. Powroty te częste przyczyniały się do pokrzepiania i ożywiania Babci, której Staś co kilkanaście dni przywoził z sobą żywność tyle jej miły i potrzebny młodości i siły.

Wspominałam już jak często wieści żałobne odbijały się o serce Babci. Do najcięższych w tym względzie należał rok 1880<sup>ty</sup>. Z kolei w tym jednym roku opłakała Babcia córkę, siostrę Sewerynę, synowca najmilszego jej sercu, Kajetana, sąsiadkę i przybraną niemal córkę Teklę z Ostrowskich Morawską; nareszcie najdroższą siostrę swą p. Różę Sobańską. Siostra Seweryna najpierwsza wyprzedziła ten szereg ukochanych istot. Miałam szczęście być przy Babuni i pielęgnować ją przez te dni żałobne. Zrazu nie przypuszczała niebezpieczeństwa, choć ciągnęła nieobecność córki swej Róży, mogła ją oświecić o stanie chorej. Zawsze gotowa do posługi Siostra Seweryna zaziębiła się układając kościół opuszczony, objijając białą materią wewnątrz długo osieroconego tabernakulum. Gdy sposobita mieszkanie Panu swemu, On Jej gotował wieki w domach swoich miejsce. 10go Maja z wieczora, dzielna ta dusza opuściła pole swych doczesnych zapasów i posług. Nazajutrz wypadało Babuni tej wiadomości udzielić. Zatrzęsła się cała, ale wnet pochyliła głowę pod wyrokiem Bożym. Już przed trzydziestu laty zrobiona ofiara rozkrwawiła na nowo jej serce w inny, pono jeszcze bardziej nadprzyrodzony sposób. Modlitwą łączyła się z duszą córki, modlitwą koiła własne cierpienia. W dniu pogrzebu cały ranek siedziałam przy biurku Babuni. Nie było pozornie znać jej żalu, ale sama niemożność zajmowania się jak zwykle piórem i książką, świadczyła o wewnętrznym bólu. Kazała mi czytać sobie modlitwy i rozmyślania z książeczki o duszach zmarłych. Słuchając raz po raz spoglądała na zegarek. Aż nareszcie z wnętrzości macierzyńskich wydobyl się ten jęk żalony: *„Teraz tam dziecko moje w ziemię spuszcza i składają.”* A jednak z zwykłym wyrzeczeniem nie dopraszała się nawet, aby drogie zwłoki do Oporowa przewiezione zostały, jak o tem była mowa: *„Ustąpiłam ją Zgromadzeniu. Przy mnie była tylko lat 26, w klasztorze 30. Zakonna rodzina pierwsze ma do niej prawa.”*

W tych to dniach żałobnych, odrywając myśli Babci od smutnego zagłębiania się w jej macierzyńskiej boleści, zebrałam najwięcej z przytoczonych powyżej wspomnień jej młodości, najwięcej zgromadziłam szczegółów do niniejszego życiorysu.

Widząc cienie żałobne nagromadzające się w około Babuni podczas tego całego smutnego roku, bliscy tem skwapliwiej ją otaczali, i lato miała tak ożywione jak nigdy. I córka Irena przybyła z za morza, i brat Henryk z Warszawy, i pani Sobańska dłużej niż zwykle bawiła. Jakby w przeczuciu, że istotnie już na ziemi nie zobaczy siostry, tak się zalewała łzami opuszczając Oporów, że ukoić jej nie było można. Polecała nam i oddawała swą ukochaną Polusię, powtarzając życzenie, iżby zawsze która z wnuczek zajmowała taborecik przy biurku i wystugiwała się Babci. Tak mi została w pamięci ta ukochana przybrana Babunia. Widzę ją przed domem Oporowskim, gdy ze łzami i gorącym uczuciem

polecała mi siostrę, jakby w przeczuciu, że mnie właśnie przypadnie wkrótce oznajmiać jednej o zgonie drugiej. Ciężkie było to zadanie, gdy Babci naszej ucieszonej mniemanem polepszeniem w zdrowiu chorej od kilku tygodni pani Sobańskiej, trzeba było odjąć wszelkie złudzenia i całą smutną wyjawiać prawdę. Gdy ją zmierzyła i ujrzała zerwany węzeł tej siostrzanej miłości, która była jednym z najpiękniejszych życia jej kwiatów, zaszlochała jak dziecko, ale wnet tracąc z oczu żal własny, jęła ubolewać nad szerszą stratą takiego serca, które było spójnią rodziny i opatrnością ubogich. Odchorowała jednak ów cios przydany do tych innych i zdawało się owej zimy 1880-81, że rychło za siostrą pospieszy.<sup>51</sup> Dźwignęła się wszakże, aby jeszcze przez dwa lata zostać między nami, jako coraz bardziej czczona relikwia. Zapatrzona w wieczność nadzieja spotkania koła ziemskie, coraz krótsze rozstania, i śmierć traciła dla niej swój ościę żałobny. Chociaż w około padali licznie znajomi i bliscy, choć już rówieśników zabrakło, pogodnie przyjmowała mnożące się wieści żałobne. Nie darmo stary Bohdan w jesieni dni swoich śpiewa:

*„Im dalej, im dalej w lata,  
Przypomnień, to przeczuć roje,  
Woniami z innego świata,  
Gdzieś nęcą w rozstrzenie swoje.  
Im dalej, im dalej w lata,  
Tym tęskni senliwiej dusza.  
Z dniem każdym mniej boli strata,  
Z dniem każdym mniej radość wzrusza.”*

A jak gdyby nie stało już żywych przyjaciół i znajomych na żniwo śmierci, padali i niemi towarzysze długiej Babci pielgrzymki. Nie jedno stare drzewo Oporowskiego ogrodu powaliła burza, złamał wicher zimowy. W dzień św. Jana 1881 roku, runął podczas srogiej nawałnicy ulubiony więz Babci oceniający dom i zajazd, olbrzymia ozdoba całej miejscowości. Pod tym więzem niejeden rodzinny wesoły obiad licznych zgromadził uczestników. Pod nim igrały dzieci, wnuki i prawnuki Babuni. Rzewnem kochała go uczuciem, opiewała go nawet wierszem, zazdroszcząc mu, że co wiosna odżywia sokami młode konary i nowe listki, a ona nic dla swych dzieci już uczynić nie zdoła, zapomniała, że i ona sokami prawdy i miłości nie przestawała ich karmić i pokrzepiać. Strata owego wiąża równała się rodzinnej żałobie. Pusto się po nim zrobiło przed domkiem Oporowskim, ale za to w niskich pokoikach jaśniej. Z ubytkiem rozłożystego cienia, jakby dowodem, że wewnętrzne rozwidnienie idzie w parze z ubytkiem najmilszych nawet ziemskich miejsc odpoczynku i wytchnienia. Jakoż rzeczywiście oczyszczał się i oświecał się duch Babci, w miarę jak się zbliżała do wieczności progów. Rada jej stawała się coraz nieomylniejszą, pociecha skuteczniejszą, dobroć serca czynniejszą i roztropniejszą.

Pan Bóg czuwający nad tą wybraną duszą, nie szczędził jej dźwigni w jej wewnętrznym życiu. Za wielką łaskę uważała sobie światłą pomoc duchowną, której jej nie zabrakło w ciągu ostatnich lat piętnastu. Wybranego przez jej syna pasterza Oporowskiej parafii, obrała też kierownikiem swej duszy i rzewną, pokorną chowała dlań wdzięczność i uległość. Jak we wszystkim, tak i w stosunku z swoim proboszczem była nam przykładem; tyle czci dla charakteru kapłańskiego, szacunku dla osoby swego powiernika. Zachowanym z lat dziecięcych obyczajem, spisywała zawsze grzechy swoje i co

---

<sup>51</sup> Brak korespondencji codziennej z panią Sobańską, straszną w jej życiu wyrwało próżnię. Próżnię tę starała się wypełnić w części synowica p. Adela Łubieńska, śląc Ciotce nieocenione odgłosy z życia rodziny z Warszawy.

dziesięć dni mniej więcej się spowiadała. Każde odwiedziny księdza Wolińskiego były dla niej prawdziwą pociechą, a mówiąc o nim mnożyła słowa szczerzej i gorącej wdzięczności.

Starość nie jedno ma wspólne z dziecięcym wiekiem, jak gdyby na dwóch kresach życia jednakże znajdować się musiało usposobienie. Niewinność i prostota lat dziecięcych u dusz wybranych powraca w końcu, a i u Babuni naszej bynajmniej umysłowo nie zdziecinniałej, budziło się jednak coś z rzewnych wdzięcznych uczuć dziecięcych pod koniec jej długiego życia. Tak np. łatwo ją było ucieszyć, zabawić. Tak serdecznie się śmiała z najdrobniejszego konceptu lub figla, tak najmniejszy podarek ją radował, zwłaszcza gdy dawca zapewniał, że odstępuje prawa udzielenia komu innemu najmilszego nawet przedmiotu. Pod tym względem Pani Bodenham, jej córka, najlepiej umiała jej dogodzić, przywożąc zawsze pełno przeróżnych drobnostek, które Babcia rozdawała z najwyższą przyjemnością, nacieszywszy się sama przez dni kilka. Skrępowana koniecznością hojność wrodzona, miała tym sposobem chwile prawdziwej rozkoszy, zaczem bliscy jęli mnożyć podobne niespodzianki i odnawiać zapasy cukierków lub prezencików rozdzielanych jej ręką.

Wiosna i lato corocznie odżywiały jej siły słabnące w zimie, w względnej samotności przykryj pory. Ostatnią jednak zimę w zupełnym przebyła zdrowiu, pokrzepiona obecnością najmłodszego brata swego, Józefa, niegdyś sąsiada z Pudliszek, budującego ją cierpliwością swą, pogodą i słodką pobożnością po przebytych zmiennych życia kolejach. I znowu rozrzewnialiśmy się widokiem świętej, sędziwej pary, rozmodlonej w kaplicy, rozmawiającej żwawo w salonie. Na dniu Świętego Józefa patrzyłam z wzruszeniem na powinszowania składane z rana bratu przez Babunię. Wbiegła do kaplicy, aby mu dziękować, że u niej dzień ten spędza, a uściskawszy go czule, zaczęła ociemniałemu czytać modlitwy do Jego Patrona świętego Józefa. A my ze łzami patrzyliśmy na tych gołąbków naszych, tak promieniejących, jak gdyby już skrzydła swoje rozwijali do lotu.

I rzeczywiście dla Babuni zbliżała się ta godzina. Mnożyły się fizyczne cierpienia, a nie stępiaty się władze. Oko jedno zgasło, w szczęce rozwijał się coraz groźniej ból newralgiczny. Umartwienie z jednej, a trudności w przyjmowaniu pokarmów z drugiej strony, składały się na zupełną niemal wstrzeźliwość. Lampie wyraźnie rychło miało oliwy zabraknąć, ale nie gasła pozornie, owszem rzucała raz jeszcze tem światlejszy krąg promieni i blasku. Rozmowa zawsze świetna, dowcipna, nie traciła nic z dawnego wdzięku, pojęcie zawsze równie żywe chwytalo w lot trafniejsze słowo, bawiło się konceptem. Pamięć jakoby zaostrzona sięgała coraz dalej i głębiej, a nie przypominała i wczorajszych wypadków. Pomnę, jak nas raz zdziwiło, gdy mówiąc o układach Rossyi z Rzymem, obecnym wyszło z myśli imię prowadzącego rokowania i darmo próbowaliśmy je sobie przypomnieć. Dopiero Babcia po chwilce zastanowienia podsunęła nam Buteniewa nazwisko. Jak dawniej ożywiała zebrane w koło jej stolika grono krewnych lub znajomych, kierowała rozmową, przestrzegając mianowicie, aby nigdy nie weszła na szkodliwe dla bliźniego tory. Najłatwiejszy to dowcip, ale jałowy, mawiała, ten który na cudzej ostrzy się sławie. Za to każde dowcipne słowo lub zdanie, gotowe u niej znajdowało ocenienie.

Zawsze miła, teraz najmilszą nam się być zdała, a fizyczne cierpienia nie osłabiały jej dzielności i hartu. Jeden tu przykład wystarczy: w ostatnim roku życia spostrzegła, iż zapach tabaki niemiłym jest niektórym osobom z jej otoczenia. I oto przeszło dziewięćdziesięcioletnia staruszka, ze zwykłym wyrzeczeniem oduczyła się od zrosłego z poniekąd z jej życiem zwyczaju. Próbką to hartu i woli nie małej doniosłości, a było takich wiele i coraz więcej. Mnożyły się cierpienia, rosła i cierpliwość, a im więcej żywy do końca temperament na częstsze i cięższe wystawion był próby, tem bardziej promieniała zdobyta i wywalczona słodycz, spokojność i wyrozumienie. Snadź Pan już był bliskim, kiedy doskonalenie tak szybkim i przyspieszonym postępowało torem. Bliskim był i zapukał

do drzwi domku Oporowskiego, do serca Babuni, która z całą gotowością powstała, aby odpowiedzieć: „Oto idę, Panie.”

W połowie Listopada 1882 roku uderzyła nas zmiana w obliczu Babci, znikającej poniekąd w oczach.<sup>52</sup> Przywołany wnuk jej i lekarz dr Franciszek Chłapowski, zatwierdził nasze obawy, zwłaszcza, gdy Babunia położywszy się około 20<sup>go</sup> tegoż miesiąca, zaledwie już kilka razy wstać mogła w ciągu rozwijającej się, nieokreślonej choroby, która to płuca, to inne organa zarażała, umysł tylko i serce zostawiając bez szwanku i osłabienia. Odtąd różne przy Babci zmieniały się strażę, ale ten wnuk ukochany nie przestawał nad nią czuwać i szukać sposobów ulgi, środków zatrzymania ubiegającej życia fali. Zdawało się rzeczywiście, że nauka jego i poświęcenie raz jeszcze sprawę wygra i bolesny odroczyć wyrok. Babunia sama na wszystkie pisywała strony uspokajając zatroskanych o jej zdrowie, swobodnie rozmawiała, interesowała się wszystkim. Gdy wtem w dzień Bożego Narodzenia nagłe nastąpiło pogorszenie i uznano potrzebę nie zwlekania dłużej ostatnich Sakramentów Świętych. Żegnała i błogosławiła obecnych krewnych i czeladkę, zaczem po raz trzeci w życiu przyjęła Oleje Święte, a jakoby łaską tego Sakramentu wzmocniona, ożyła na cały następujący tydzień w sposób iście cudowny. Z świadomością zupełną zbliżającego się końca, miała jeszcze najbliższych pożegnać i przeżegnać. W lot rozeszła się po kraju i rodzinie wieść złowroga, i oto zewsząd jęły ciągnąć przerażone, zasmucone drużyny krewnych, przyjaciół, sąsiadów. Zaraz nazajutrz po przyjęciu Olejów Świętych wchodzi do Babuni, a ona właśnie czyta otrzymane z Jurkowa listy i powtarza: „*Myśl, dusza, serce wami zajęte!*” Dawna serdeczność w tem powitaniu orzeźwiła słabnące ciało. W ciągu owego tygodnia nadjechali z Kotowiecka, zięć i córka. Sędziwa para uklękała przed chorą matką, witając ją i żądając jak przed 48 laty jej macierzyńskiego błogosławieństwa w rocznicę ich ślubu. Chwila to była wielkiej radości dla Babuni, wielkiego wzruszenia dla obecnych. W mgnieniu oka ją się napełniać i przepętniać kochany Oporów, zamieniony niebawem w prawdziwy obóz serc kochających. Nikt się nie troskał o nocleg, byle kanapa wystarczała kolejno na liczące się strażę miłości przy ukochanej Babci. Ona jedna się kłopotowała tym zjazdem, czy będzie dość obfity stół, czy wygody się znajdzie dosyć, i czy będzie wesoło. Wciąż o to jedno jej chodziło: „*Pragnę, aby wam było razem wesoło, nie smutno jak dotąd w pojedynczym czuwaniu nade mną. Kochajcie się wszyscy, wszyscy!*” To zaklęcie wracało wciąż na jej usta. Z każdego domu zostawali stali wysłańcy, inni przyjeżdżali i wyjeżdżali na przemian, a Babunia zawsze znajdowała dość sił, aby się każdym ucieszyć, każdego powitać, do każdego z błogosławieństwem przemówić Kika słów podniosłych. Do zięcia np. odzywała się: „*Pamiętaj, że każde spełnienie obowiązku jest męczeństwem, ale że męczeństwem okupuje się niebo.*” Do wnuka profesora przy Jagiellońskiej Wszechnicy z nieporównaną wymową podnosiła znaczenie misji nauczania młodzieży w naszym wieku. Matkom zalecała przede wszystkim szukanie zbawienia, młodym wskazywała drogi którymi się to zbawienie osiąga. Cały ten tydzień był prawdziwie cudownym pasmem łask nadprzyrodzonych, spotęgowania wszystkich władz i darów Bożych w duszy Babci złożonych. Gdy razu jednego zbliżam się do niej po tych dniach ustawicznej do jej łoża pielgrzymki, słyszę jej głos pełen łez i zachwyty: „*Tyle pociech w długim życiu! A teraz tyle miłości, tyle serca, tyle wnuków otaczających mnie nieprzestanie!*” Stanąwszy u kresu, zatarła się pamięć licznych krzyżów i doświadczeń, została tylko wdzięczność za otrzymane łaski, za tę miłość opromieniającą jej śmiertelne łożo!

---

<sup>52</sup> Pierwszym powodem choroby miało być zaziębienie. Wstała rychło, aby oglądać przy oknie wspaniałą kometę. Wracały dla niej raz po raz dawne na niebie znajome. Już w roku 1881 witała kometę z roku 1801. Rys ten maluje bystrą jej ciekawość.



Miłość ta ścieśniała szeregi postępujących drogiej Babci i to może stanowiło osobny rodzaj próby dla jej słodczy. Zamiast ustalonych starań dwóch lub trzech osób, co chwila nowa twarz nad nią się pochylała, inne ręce jej podawały lekarstwo lub napój chłodzący. A ona dla każdego miała uśmiech wdzięczności i słowo podzięk. Gdy najsilniejszy z wnuków Stanisław M. dźwigał ją z postania, wciąż twarz jego okrywała najczulszemi pocałunkami, mówiąc do obecnych: „*I w życiu i w śmierci modlić się będę o dobrą żonę dla niego, bo dobra żona, to skarb prawdziwy.*” Gdy Franciszek Chłapowski obmyślał środki ulgi, odpowiadała z uśmiechem: „*Alboż to na to Bóg cierpienie zsyła, aby zaraz ulgi szukać?*” Opierała się nawet trochę niektórym środkom, np. elektryzowaniu, lecz skoro tylko przypuściła, że tym ukochanego zasmuci wnuka, natychmiast oświadczała swą gotowość do użycia przepisane lekarstwo. Każdej z dobrych służek dziękowała, wymawiała się od nadmiaru poświęcenia i chętnych posług, a troszczyła ciągle czy nie są chore lub zmęczone czuwaniem. Gdy kto się odezwał, że będziem się modlić o usunięcie dotkliwego w całej twarzy bólu newralgicznego, upominała się żywo: „*Nie módlcie się, abym nie cierpiała, ale raczej prosicie, abym niecierpliwością was nie gorszyła.*” Wciąż się tylko lękała, że w zbytnej umiera wygodzie: „*Czemuż mnie nie położycie na słomie jak babkę szpitalną? Na co te zbytki, te dogodności?*” Odrzucała piękniejszą kołdrę, odrzucała jedwabną na głowę chusteczkę, upatrując w tem zdrożny zbytek. Nie nużyła ją obecność tylu osób. Do matki naszej mówiła: „*Choć nie ciągle Cię widzę, ale czuję Cię przy sobie.*” Najwięcej ją rozjaśniał widok prawnuczki, dzieciątka Franiów Chłapowskich. Ilekroć mała Basiula zbliżała się do jej łóżka, uśmiech radości błyszczał w oczach prababuni. Jakiś węzeł tajemny łączył dwie czyste dusze dziecka i staruszki i rozrzewniającemi były te ostatnie pieśczoty umierającej z poczynającą życie istotką. „*To aniołek prawdziwy - mówiła Babcia - ale z tych aniołków, co powinny na ziemi pozostać.*” Największą jednak pomocą i pociechą owych dni byli dwaj nieodstępni wnukowie kapłan i lekarz, niosący na przemian ulgę ciału i duszy. Tylko że, gdy Ojciec Maryan widział skuteczność słów i modlitw swoich uspokajających i kojących duszę w ostatnich życia zapasach i z słodkim wzruszeniem krzepił i dźwigał chrześcijańską, kapłańską postugą umierającą Babkę, biedny Franio widział z bólem daremność nauki, marność sztuki lekarskiej wobec przeznaczenia człowieka i groźnej śmierci zagadki. Darmo silił się nieść ulgę, mnożyć łagodzące środki, coraz niklejszym uwieńczone bywały skutkiem, a wraz z Babci cierpieniem i jego cierpienia wzrastały przeświadczeniem niemocy i bezsilności nauki, nawet gdy miłością i poświęceniem popartej.

A cierpienia te wzmagały się i po tym nadzwyczajnym tygodniu uniesienia i jakoby nieziemskich zachwyty, przyszła kolej na dni próby ostatniej. Przytomność nie ustępowała, ale mnożyły się bóle i choć nie trwogi śmierci, które zostały Babci oszczędzone, przynajmniej smutki konania. Przeciągała się pasowaniem duszy z ciałem i życia ze śmiercią, a wyzwolenie z doczesnych pętów nie szybko, nie lekko następowało. Raz po raz Babunia powtarzała: „*Życie było długie i ciężkie, nie dziw, że i śmierć długą będzie i ciężką! La vie a été dure et longue, la mort le sera aussi!*” Jakkolwiek duch się wyrывał do niebiańskiej ojczyzny, trudno mu przychodziło wyswobodzić się z więzów ciała, tak długo przezeń zamieszkałego, jak gdyby kochał ten dom swej młodości i siły. Wciąż patrzyła w oczy śmierci, nieraz pytała: „*Czy nogi jeszcze ciepłe?*” Albo znów czując się gorzej zalecała, aby nie wołać wszystkich, bo widok śmierci dla niektórych może być przykrym. Wystawiła sobie mianowicie, że skończy w dniu swoich urodzin. Jednej nocy nagle pyta, która godzina.

- „*Pierwsza Babuniu.*”

- „*O tej godzinie przed 92 laty Matka mnie moja rodziła!*”

- „*Ależ Babciu, dziś 3go, nie 4go Stycznia.*”

- „*A więc jeszcze cierpieć trzeba.*”

Tegoż dnia nad ranem znów pyta o godzinę. Uświadomiona, że ósma, odpowiada:

- „*Jak to? Już ósma? Czy złe, czy dobre wszystkie chwile szybko płyną.*”

Gdy się wzmagaly dotkliwie boleści w całym ciele, powtarzała:

- „*Gdyby to można za wszystkich cierpieć!*”

I znowu przestrzegala przyzwyczajęń umartwienia swego, nie rada orzeźwiała się winem, zaledwie pozwalała odświeżać usta swoje wodą.:

- „*Całe życie Oporów mi wystarczał, a i teraz studnia Oporowska mi wystarcza.*”

Pilnie też dbała o zewnętrzne ochędóstwo, plama na bieliźnie lub pościeli sprawiła jej wyraźną przykrość. Podnosiła się raczej z wysileniem, byle nic nie wylać z podawanych sobie napojów. Wszystkie piękne zwyczaje i w tych stanowczych nie opuszczały ją chwilach. Gdy na parę godzin przed zgonem żądała obecności Proboszcza swego, nie pozwoliła go wpuścić do jej pokoju, dopóki nie nakryto jej głowy chusteczką, jakby ostatnim dowodem uszanowania dla osoby kapłańskiej, pamięci na zalecenia Pawła Świętego, aby niewiasty z nakrytą głową się modliły. Skromność jej także występowała wciąż w tej chorobie, nie opuszczała jej nawet wobec lekarza i wnuka, a ta niewieścia wstydlivość stanowiła jeden z tylu pięknych rysów jej konania.

Niepokojów też widocznych nie było, ale jak powiedziałam, nękały ją raz po raz fizyczne cierpienia i moralne tęsknoty. Zasilona wiatykiem na drogę wieczności codziennie słuchała Mszy św. z trzeciego pokoju. Łączyła się z modlitwami czytany przy niej, pokrzepiała się rozmową z Ojcem Maryanem. Mimo woli słuchając onych podniosłych rozmów Babki i wnuka w przedsionku wieczności, stawała nam w pamięci owa ostatnia rozmowa w Porcie Ostyjskim Świętego Augustyna z matką swą Moniką, gdy zagrzeni wzajemnie miłością Bożą, doczesne zapomnieli sprawy, a dusza matki na głos syna zdawała się już ulatywać ku nieśmiertelnym wybrzeżom. Nie wiedzieć kto spokojniej i z większą prostotą mówił o śmierci, czy ta, która już czuła śmierć bliską, czy ten wnuk przywiązany, który wciąż wskazywał Babce krzyż zbawienia i odpoczynek wieczny.

W owych też dniach ostatnich rozporządziła Babunia wszystkimi gracikami rozstawionemi na jej biurku. Wybierała je i przeznaczała z kolei dla bliższych i dalszych jej serca. obmyślała pamiętkę dl każdego, a ubóstwo jej uwydatnione w tym serdecznym testamencie ozlacało miłością te drobnostki uzbierane w ciągu długiego życia.

I oto jakby skutkiem zaleceń Babuni pewna swoboda zapanowała w zasmuconej rodzinie. Widok Babci odejmował śmierci wszelką gorycz i grozę, zostawiając w duszy przedziwną słodycz. I we dnie i w nocy nie ustawały pełne miłości czaty. Co wieczór następował rodzaj licytacji, komu przypadnie noc przy niej spędzić. Naznaczano dwie osoby, a potem osiem czuwało, aby się rozchodzić dopiero po Mszy świętej. Ilekroć Babunia przyjmowała Komunię świętą, tyle razy wszystkie pokoje wypełniały się klęczącymi. Kilkakrotnie zdawało się, że koniec się zbliża, odmawiano modlitwy, zapalano gromnicę, powtarzały się błogostawieństwa i pożegnania, aby znów widzieć powracającą od granic śmierci Babunię, na nowy czyściec cierpienia, noce bezsenne, i jak mówiła sama, prawdziwe męki. Nareszcie w dniu 10go Stycznia 1883 roku, w południe, lekarz spostrzegł stanowczą przemianę w tętnach pulsu i serca. widocznie to serce, którym wszyscy żyliśmy przez lat tyle, bić przestawało, słabnęło w swych uderzeniach, nie słabnęło w miłości. Ostatnie uściski były dla tej córki, która jej nigdy nie odstąpiła, a której osierocenie teraz najsroźszą jej było troską. Do końca polecała ją pieczy i sercu innych członków rodziny. Teraz coraz już mniej mówiła, oczy się zaciemniały. W biały dzień wołała o zapalenie świec, później chciała się ubrać, wstawać. O zmroku, Proboszcz udzielił jej odpustu różańcowego, przypominając ile to nabożeństwo lubiła i wierną mu była, przesuując codziennie paciorki na różne swych drogich intencje. Wezwana, aby za kapłanem powtarzać najświętsze imiona, głosem silnym zawołała: „*Jezus, Marya, Józef!*” Zaczem już wyraźnych słów z jej ust nie dosłyszałam. Około siódmej zbiegli się wszyscy, a była nas liczna gromada i rozpoczęliśmy ostatnie modlitwy, choć

właściwego nie było konania. Gdzie spojrzeć po pokoju oczy łzami wezbrane, a wszystkie w twarz Babci wlepione. Na twarz tą pada blask gromnicy, niby aureola wieczności. Trzech kapłanów odmawia pacierze na przemian po polsku i po łacinie. Ojciec Maryan przerywa modlitwę pobożnymi westchnieniami. Przymotni odpowiadają na litanią i wezwania, błagają Boga, aby nie pamiętał na grzechy młodości i nieświadomości tej ukochanej duszy, a zesłał jej na pomoc Aniołów swoich i świętych, którzyby ją wywiedli z życia i wwiedli w niebieskie przybytki. Tak cicho i uroczyście, że słyszałbyś skrzydła owych Anielskich przesłańców śmierci, że chciałoby się drogiej Babuni dać ostatnie z ziemi do nieba zlecenie, boć tam już każdy z nas ma kogoś bardzo drogiego, który ją za chwilę powita w przybytkach wiecznych. Cichną modlitwy, daje się słyszeć lekkie zatknięcie oddechu i oto nie ma już między nami tej duszy mężnej i dzielnej, i widzimy naocznie spełniające się obietnice Boże: *„Błogostawieni, którzy w Panu umierają.”*

O. Maryan zamyka oczy Babki i pierwszy na jej rękę składa pocałunek, po nim w ten sam sposób żegna ją proboszcz i kapelan. Za księżmi idzie rodzina cała, dalej tonąca we łzach czeladka, słudzy wiekowi i wieloletni. Ale ciszy nikt nie przerywa żadną głośną skargą ni jękiem. Po kilku godzinach ukochana Babunia przybrana jak zwykle w czepeczek z chusteczką, w szlafroczek z fartuszkami, już spoczywa w kapliczce domowej, a majestat śmierci coraz wyraźniej na jej obliczu występuje, oblekając ją w powagę jakąś świętą i nadziejską. Przez trzy dni ciało żadnej nie ulega zmianie, zachowując giętkość swoją, pięknieje tylko wyrazem nieśmiertelności.

Kwiaty i modlitwy, ciągnące się wieńcem różańce, otaczają ukochane zwłoki. Ostatniego dnia, podczas Mszy świętej, jedna z wnuczek towarzyszy na harmonium modlitwom zebranych, a słodkie dźwięki wlewają pociechę w dusze osieroconych. Życie Babci było tak harmonijne, słusne, aby ją żegnały święte pienia i tony. Zlewają się głosy wnuków z brzmieniem organów w śpiewie *Salve Regina*. Witaj Królowo nucimy żałośnie a serdecznie i raz jeszcze całujemy drogie rączki Babuni, żegnamy jej rysy kochane, otaczamy ją jak za życia rodzinnym kołem, aż tak wśród nas wieko się zamyka, przykrywa umiłowane zwłoki, a my wszyscy z łzą i pieśnią zarazem czujemy całą prawdę słów Pisma św. zamykających Księgę Tobiaszową: *„A wypełniwszy dziewięćdziesiąt dziewięć lat, z weselem go pogrzebli.”*

Tak jest, można z weselem duszy przy najcięższej żałobie serca grzebać wybranych swoich. Ten śpiew i to pożegnanie stanowiły rodzinny pogrzeb Babuni, dokonany wśród nas i przez nas. Wieczorem uroczyście odbyła się exportacja. Wyszła Babunia po raz ostatni z tego domu, którego wiernie przez lat pięćdziesiąt strzegła nie odchadzając ogniska swego, ani surowych obowiązków. Wyszła z tego progu, gdzie wybiegała nas witać, z tych murów, które podniosła do wysokości świątyni. W ponury wieczór zimowy, podjęli wnukowie drogi ciężar, aby go zanieść do kościoła. Wiatr okrutny szalał i szumiął, a drzewa Oporowskie zdawały się jęczeć i załamywać konary nad stratą ukochanej Pani. Smutno i ciemno było na dworze, ale jasno i wesoło w oświetlonym i przybranym świątecznie kościele. Zostawiliśmy też spokojnie naszą Babunię u Boga i wróciliśmy sami i smutni do osieroconego domu, z którego uleciała dusza. Nazajutrz mnóstwo żałobnych pątników, tłumy ludu zabrały się ku oddaniu ostatniej posługi powszechnie czczonej Pani Referendarzowej, bo tak ją zwano w całym kraju i okolicy. Nad trumną przemówił ksiądz Woliński, tak pięknie i podniosłe a serdecznie, jak tylko gorące uczucie natchnąć może. Wnukowie obstawili znów katafalk, a gdy zabrzmiała pieśń pożegnalna, oni to zanieśli drogi ciężar na miejsce ostatniego spoczynku. Wszystkie drogie Jej rodziny zeszyły się w tej postudze. Dźwigało jej zwłoki czterech Morawskich, dwóch Chłapowskich, jeden Łubieński i jeden Sobański, wnuk pana Henryka i wnuk pani Róży, najbardziej umiłowanych z rodzeństwa Babci. Złożono ją w grobie rodzinnym, obok męża i siedmiorga dzieci. Trumnę ustawiono

między trumny Referendarza i księdza Wojciecha. I grób ten dla nas święty zamknął się aż do dnia zmartwychwstania ostatecznego.

Ale odchodząc z Oporowskiego cichego cmentarza, czuliśmy, że tam zostawiamy tylko ziemską powłokę kochanej Babuni. Duch Jej, ten duch dobry, cierpliwy i mężny, zostanie z nami i nad nami, spójnią serdeczną, nawiązką miłości, pobudką do wszystkiego co piękne, co szlachetne i wzniosłe. Znadto się zrosła ze swoimi, za długo dzieliła nasze troski i smutki, aby o nich zapomnieć. Orędownic nie przestanie za nami, pośredniczyć w naszych sprawach, kochać nas w wieczności i doliczać się powoli tych wszystkich, których zostawiła na ziemi, żegnając niezłomną nadzieją, że ich kiedyś tak zgromadzi przy sobie w domu Ojca Niebieskiego, jak ich za życia gromadziła w domku Oporowskim.

5. Lutego  
1883.

---

Na podstawie <https://polona.pl/item/35247892/2/> opracował: Jerzy Kownacki  
Tłumaczenie fragmentów tekstu z języka francuskiego i włoskiego: Andrzej Skurdo